

S Ł A W O J K U C H A R S K I

Składam swoje oświadczenie dla Archiwum Wschodniego. Nazywam się S ł a w ó j K u c h a r s k i. Urodziłem się 10 marca 1929 r. w Brześciu nad Bugiem. Rodzice moi nie mieszkali w Brześciu. Zostałem po prostu tam urodzony, gdyż w Białowieży, gdzie oni rzeczywiście mieszkali, nie było odpowiednich warunków, w których mógłby przyjść na świat ich pierworodny syn. Tak więc urodziłem się w prywatnej klinice w Brześciu n/Bugiem. Mając trzy dni wróciłem z rodzicami z powrotem do Białowieży. Ojciec mój, z wykształcenia leśnik, po studiach na Uniwersytecie Poznańskim, na Wydziale Rolniczo-Leśnym ukończonym w 1923 r., pracował w Puszczy Białowieskiej jako fachowiec w rezerwacie, pod kierunkiem słynnego profesora przyrodnika Jana Karpińskiego. Ponadto ojciec wykładał w Państwowej Szkole Leśnej w Białowieży i jeszcze dodatkowo pracował społecznie w Muzeum Puszczy Białowieskiej, gdzie prowadził fachowy nadzór nad zbiorami. Mama moja pracowała w Białowieży jako nauczycielka. Mama pochodziła z Sądowej Wiszni koło Lwowa, miasteczka położonego w połowie drogi między Przemyślem a Lwowem, dziś niewchodzącego w skład Polski. Ojciec urodził się w Radomiu. Mama ukończyła Seminarium Nauczycielskie Sióstr Niepokalanek w Wirowie nad Bugiem, na Podlasiu, w okolicach Drohiczyna. W Białowieży otrzymała pierwszą posadę. Tam poznała mojego ojca, pobrali się. Owocem byłem ja, a następnie dwóch moich braci, Konrad najmłodszy i średni Mariusz Józef, niestety zmarły w bardzo młodym wieku niecałych dwóch lat. Jeszcze chciałbym się cofnąć do mojego ojca. Ojciec mój był żołnierzem wojny 1918-1920 r. Wiem, że między innymi uczestniczył w kampanii wyzwolenia Wilna, w 1919 r. W drugi dzień Wielkiej Nocy zdobył Wilno, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych oraz Krzyżem Pamiątkowym za Wilno Wielkanoc 1919 r.

Wyszedł z wojska jako plutonowy. Rodzina mamy z Sądowej Wiszni uczestniczyła w walkach o polski Lwów w 1918-1920 r. Brat mamy, Albin Truchanowicz z Sądowej Wiszni, był ochotnikiem obrony Lwowa. Rodzina nasza miała bardzo patriotyczne korzenie i to niewątpliwie wpłynęło na jej dalsze tragiczne losy. Na początku lat trzydziestych ojciec został służbowo przeniesiony do nadleśnictwa Bronna Góra na Polesiu, gdzie był adiunktem. Po pewnym czasie, za dobre wyniki w pracy i doskonałą postawę, został przeniesiony służbowo na samodzielne stanowisko nadleśniczego do Nadleśnictwa ~~Madworze~~, poczta Kozłowszczyzna, powiat Słonim, województwo nowogródzkie. Tam byliśmy do 1937 r. Pamiętam, że jak Piłsudski umarł, 12 maja 1935 r., to byliśmy w Zadzworzu. Ojciec siedział przy radiu i płakał, gdyż bardzo był przywiązany do marszałka, jakoby jego żołnierz i w ogóle żył ideologią Piłsudskiego. Potem, krótko przed wojną, w 1937 r. ojciec został przeniesiony drogą awansu na bardzo duże i bardzo zaniedbane nadleśnictwo. Miał je uzdrowić. Było to Nadleśnictwo Żdzięcioł, obecnie ~~po ukraińsku i po białorusku~~ - Dziatłowo. Tam zastała nas wojna.

Doskonale pamiętam realia czasu przedwojennego. Mianowicie bardzo zaniedbane cywilizacyjnie wioski z ludnością białoruską. Wtedy Białorusinom, nie mającym rozbudowanej świadomości narodowej, trudno było się określić narodowościowo. Mówili, że są "tutejsi". Byli to ludzie prawosławni. Nadleśnictwo Żdzięcioł położone było w pobliżu wsi Wiązowiec, gmina Żdzięcioł. Wiązowiec, była to wieś biedna, prawosławna. Mieszkał tam jeden Żyd, który prowadził mały sklepik. Miał w nim wszystko. Pamiętam, że w jego sklepie mieszały się wszystkie zapachy, dosłownie tak zwane "mydło i powidło". Sprzedawał bardzo tanie papierosy. Najtańsze były machorkowe, kosztowały pół grosza sztuka. Trzeba było kupić

najmniej dwie sztuki za 1 grosz. Białorusini pracujący w lesie posługiwali się nie zapałkami, a krzesiwem. Hubkę układali na krzemieniu i uderzali w kamień stalowym krzesiwem, jak padła iskra z krzemienia na hubkę to ta zaczynała się tlić. Wtedy przykładali do niej papierosa, pociągali i on się rozjarzał. Tak samo robili przy rozpalamiu ogniska. Przykładali wtedy do hubki papierek lub suchą trawę i ona się rozjarzała. Hubka był to spreparowany grzyb rosnący na brzozie. Ci co mieli zapałki to je dzielili scyzorykiem na dwie albo cztery części. Jest to dla mnie niepojętą sztuką tak zrobić żeby zapałka, która dzisiaj nie działa jedna, trzeba zapalić trzy lub cztery, aby wyszedł skutek, to tam 1/4 zapalała. Poza tym podziwiam jakość zapałki, że główka się nie odkruszyła. Tego do dziś nie rozumiem, ale widziałem to na własne oczy. Drugą rzecz, którą pamiętam, to penetracja komunistycznej ideologii na kresach wschodnich. Polska była tak liberalna, że nic nie robiła, aby temu przeciwdziałać. Bolszewicy z Mińska, gdzie mieli silną radiostację, cały czas w języku białoruskim podburzali miejscowych chłopów przeciwko tak zwanym "polskim panom", przez co rozumieli władzę sanacyjną, obszarników oraz policję państwową i urzędników. Propaganda spotykała się niestety z odzewem miejscowej ludności. Pamiętam, jak ojciec wyjeżdżając gdzieś służbowo, mówił do matki, że jedzie do komunistów. Wiedziałem, że to były takie miejscowości, gdzie trzeba było bardzo uważać, bo zdarzały się tam nawet zabójstwa. Słyszeliśmy o zabiciu policjanta i komorników, którzy chcieli chłopom coś zająć i przekazać na licytację. Były to wsie nad Szczarą. Cały obszar wsi nad Szczarą był spenetrowany przez ideologię komunistyczną. Były to wsie białoruskie. Poza tym, jak się później dowiedziałem, mnóstwo Żydów, zwłaszcza drobnych kupców, kiedy we wrześniu 1939r. wtargnęła Armia Czerwona, od razu przy-

wdziało czerwone opaski na ramiona i było bardzo gorliwymi stróżami nowej władzy, zwłaszcza wobec takich, jak mój ojciec inteligentów, Polaków, do tego mających pochodzenie niepodległościowe.

Naukę rozpocząłem późno, bo nie było warunków do uczęszczania do szkoły. Szkoła była daleko. Nadleśnictwo stało w lesie, nie w żadnej miejscowości. Ponieważ matka była nauczycielką, przerabiała ze mną kurs klasy pierwszej i drugiej w domu. Do klasy trzeciej poszedłem mając 9/10 lat, w roku 1938/1939, w Brześciu nad Bugiem, gdzie mieszkała siostra mojej matki, Aniela Borecka z domu Truchanowicz, która była w Brześciu nauczycielką w szkole powszechnej. Jej mąż, Leopold Borecki był profesorem Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Romualda Traugutta w Brześciu. Wykładał biologię. U nich mieszkałem. Uniknąłem w ten sposób męczącego dowożenia do szkoły. Odczuwałem jednak boleśnie brak puszczy, lasu i rodziców, z którymi mogłem się widzieć jedynie na Wielkanoc, czy na Boże Narodzenie. I tak nadszedł rok 1939, kiedy ukończyłem klasę trzecią. Przynależały wakacje. Na wakacje, całą rodziną: matka, ojciec, ja i mój młodszy brat, pojechaliśmy odwiedzić rodzinę, bo ojciec miał przeczucie, że wybuchnie jakiś dramat. Chciał jeszcze raz zobaczyć rodzinne strony. Pojechaliśmy do Radomia, do rodzeństwa ojca, potem do Częstochowy, gdzie mąż siostry mojego ojca, Kozłowski był naczelnikiem stacji Częstochowa. On nam otworzył oczy na zagrożenie ze strony Niemiec. Innego zagrożenia nie podejrzewaliśmy. Uważaliśmy, że Niemcy to jest germański żywioł i może być podstępny. Sądziliśmy, że ze strony Rosjan, którzy są Słowianami, którzy mają z Polską układ zawarty w 1932 r. na 10 lat, nic nam nie grozi. Z Częstochowy wyjeżdżaliśmy w ostatnich dniach sierpnia. Byliśmy na Jasnej Górze. Matka Boska Częstochowska

udzieliła nam swego błogosławieństwa na rzeczy straszne, których się wtedy jeszcze nie spodziewaliśmy. Przyjechaliśmy do domu i 1 września nie trzeba było nawet słuchać radia, aby wiedzieć, że wybuchła wojna, albowiem słychać było wybuchy na kresach wschodnich, na Szczarze, nad Niemnem. Ojciec mówił, że coś się dzieje z bardzo ważnymi mostami. Z radia dowiedzieliśmy się, że Niemcy napadli na Polskę i bombardowali, między innymi, właśnie mosty na Niemnie. Potem widzieliśmy lecące samoloty. Samolot polski leciał bardzo nisko, nigdy tego nie zapomnę, bo leciał dosłownie w zasięgu ręki, aż wiatr człowieka owiewał, który powstawał od śmigieł. Na skrzydle stał jeden pilot i coś naprawiał. Tego nigdy nie zapomnę! Potem widzieliśmy już szosą - traktem - gościńcem wycofujące się na wschód polskie wojska. Ciągnęły różne jednostki: w zwartych szeregach, i w pewnym nieładzie, w różnym stanie. Ojciec nie został zmobilizowany, ponieważ był rocznikiem 1897 i w czasie jak wojna wybuchła miał lat 42 i nie podlegał pod pierwszy rzut. Jest jeszcze inna sprawa, że leśnicy jak kolejarze są zawodem zmobilizowanym. Cały czas przechodzili szkolenie. Ja także chodziłem na strzelnicę, aby się temu przyglądać. Strzelali z broni długiej i krótkiej bojowej w ramach Przynależenia ^{Wojskowego} ~~Bojowego~~ Leśników (PWL). Mam taką odznakę - oczywiście nie oryginalną - kupiłem ją na Jarmarku Świętojańskim, żeby mieć taką odznakę jak miał mój ojciec. Odznaka wyglądała tak: jodełka, o nią oparte z obu stron dwa karabiny, na jodełce napis PWL. Była to organizacja paramilitarna, która stawiała leśników w rzędzie żołnierzy obrony miejscowej pospolitego ruszenia. Ktoś musiał na miejscu ład utrzymywać. Policja, leśnicy, poczta, kolej musi funkcjonować. I tak nastąpił ten straszny dzień 17 września. Oczywiście o tym 17 września tośmy się dowiedzieli z radia. Byliśmy wtedy w Nadle-

śnictwie Żdzięcioł, w miejscu pracy mego ojca. Ojcu, jako nadleśniczemu było powierzone mienie państwowe. Podlegali mu pracownicy umysłowi w nadleśnictwie: sekretarz, księgowo-buchhalter itd. cała grupa leśniczych po szkole zawodowej, dalej grupa gajowych i następnie robotnicy leśni, fizyczni pracownicy, ludzie miejscowi. Wśród gajowych byli również Białorusini. Trzeba uczciwie powiedzieć, że w zatrudnieniu pierwszeństwo mieli Polacy, zwłaszcza kombatanci wojny lat 1918-1920. Tak przypuszczam, bo u niektórych widziałem różne kombatanckie odznaki, odznaczenia itd. ale wśród pracowników zdarzali się także ludzie tutejsi. Do granicy polsko-sowieckiej mieliśmy w linii prostej - tak myślę, strzelam - 150 km. Jasną rzeczą jest, że oni nie byli u nas 17, ale pojawili się 18, a najpóźniej 19 września. W jaki sposób się pojawili? Poprostu całe rzeki wojska płynęły szosą. Nadleśnictwo było położone na górze, dalej była równina. Daleko na horyzoncie widać było szosę i sunące po niej wojska. Była to, tak zwana konnica - mieli konie, następnie wiele zaprzężonych wozów i dział konnych. Były również czołgi i samochody pancerne. Muszę powiedzieć, że sensacją były ich konie. Przyzwyczajonym do koni rosłych, dobrze odżywionych, wydawało nam się, że to są cienie koni. Jak one żyły, jak ciągnęły - tego nie wiemy. Prawdopodobnie taka jest ich uroda lub to, że do biedy można się przyzwycząić. Jeśli chodzi o wymiary to były to koniki, ale widocznie były silne i wytrzymałe. Nigdy nie zapomnę pierwszego swego kontaktu z Rosjanami, o których tyle słyszałem z opowiadań ojca i o których wiedziałem, że niczego dobrego z ich strony nas nie spotka. Nagle przed nadleśnictwem pojawił się zaprzęg konny, zaprzężony w dwa konie. Wsiadło z niego trzech ludzi w wojskowych mundurach i w długich płaszczach. I tego nigdy nie zapomnę! Wygląd tych żołnierzy był dla mnie szokiem. Ich umundurowanie różniło

się zasadniczo od tego, do którego byłem przyzwyczajony. A znałem umundurowanie wojska polskiego. Oni występowali w długich szynelach, czyli płaszczach wojskowych. Na głowach mieli czapki z czubkiem, uszyte z sukna. Jak się potem dowiedziałem, oni nazywali te czapki "budżionnówkami", od nazwiska Siemiona Budżionnego. Myślę jednak, że tradycja tych czapek sięga czasów tatarskich. Kojarzą mi się te czapki z misiurkami, tylko, że misiurki były stalowe, a te czapki były sukienne. Zaletą ich było to, że mogły być latem, czy w cieplejszym okresie, zawijane do góry i kształtowane wokół obwodu głowy i zapięte na guziczki, a kiedy było zimno, odpinało się guziczki i spuszczało się ten cały wałek materiału tak, że otulał szyję i twarz z podbródkiem włącznie. Widać było tylko policzki, oczy, nos i usta. Tuż nad oczami był daszek uszyty ze stebnowanego sukna. Całości dopełniała czerwona gwiazda naszyta z innego materiału. Dopiero na tej gwiazdzie była przykręcona czerwona gwiazda emaliowana. Gwiazda z materiału nie zawsze była koloru czerwonego. Niektóre rodzaje wojska miały ją zieloną lub granatową. Buty mieli tak zrobione, że skóra była tylko tuż przy ziemi. Cholewa wykonana była z brezentu. Całość śmierdziała niesamowicie, ponieważ buty były konserwowane dziegciem, a nie pastą. Dziegiedź jest to produkt suchej destylacji drzewa brzoźowego, a więc smoła. Ta smoła w jakiś sposób uodparnia skórę na przemakanie, ale jej zapach - dla człowieka nie przywykłego - jest potworny. Innym zapachem jakim emanowali rosyjscy żołnierze, to był zapach ich mundurów i szyneli. Był on też niesamowity i zawsze taki sam. Zapach ten dawał, prawdopodobnie jakiś preparat dezynfekcyjny przeciwko insektom. Umundurowanie poddawano co jakiś czas tej obróbce i oho stale było tym czymś nasycone. Cały ten konglomerat zapachów stwarzał koło tych Rosjan niesamowitą aurę. Karabiny mieli bardzo stare

z długimi rosyjskimi trójgraniastymi bagnetami, ale nie na sznurkach, jak to o nich mówili, ale na pasach parcianych. Wśród nich był jeden inaczej ubrany - jak się domyslałem, był to oficer. U nich nie było wtedy oficerskich stopni. Nazywali się "dowódca kompanii", "dowódca plutonu", i nosili funkcyjne dystynkcje nie na naramiennikach, bo naramienniki zlikwidowali w czasie rewolucji jako symbol władzy carskiej, a na kołnierzu. Były to albo kwadraciki, albo trójkąciki, albo inne figury geometryczne odpowiedniego koloru. Jak wiemy, nietolerowanie naramienników nie długo trwało, bo w czasie wojny znowóż wprowadzili naramienniki i to do tego jeszcze całkowicie takie same, jak miała armia carska. } Otóż ten oficer zaczął mówić po rosyjsku. Ojciec mój rozumiał go, bo jak Rosjanie odchodzili z Polski w 1914 r. miał 17 lat i zdążył przez kilka lat uczęszczać do rosyjskiej szkoły w Radomiu. Innych szkół wówczas w zaborze rosyjskim nie było, dlatego poznał dobrze ten język. I nie tylko rosyjski, bo zdążył się nauczyć, przy Żydach, również języka jidish. Było mu to bardzo pomocne, ponieważ Żydzi mówili przy Polakach w swoim języku myśląc, że oni nic nie rozumieją, a ojciec wiedział o co chodzi. Oficer ten powiedział, że jest im potrzebne siano i owies, jako pasza dla koni. Wobec tego matka powiedziała: "Jak trzeba, to oczywiście dostaniecie, ale może można was poczęstować?" Wprowadziła ich do kuchni, posadziła przy stole, a oni mówią: "Tu mieszka obszarnik!" Ojciec wyjaśnia: "Nie, tu mieszka urzędnik państwowy, leśnik." "To tak mieszka urzędnik państwowy, w takim komforcie?" Wtedy zaczęło nam się przejaśniać w głowie, z jakiej oni muszą nędzy pochodzić. } Nasza kuchnia nie była kuchnią wytworną, była zwykłą normalną polską kuchnią, tyle że było czysto i schludnie. To już budziło ich podziw. Budynek nadleśnictwa uważali za siedzibę jakiegoś

ziemianina czy obszarnika. Mama zaproponowała im wypicie kwaśnego mleka. Mieliśmy zawsze bardzo smaczne mleko, od własnych krów, pełnowartościowe, skwaszone w głębokiej piwnicy, pod ziemią. Piwnica była poza budynkiem. Wtedy nie było lodówek, trzeba było sobie radzić inaczej i radzono sobie doskonale. Takiego kwaśnego mleka nigdy już później w życiu nie piłem. O dzisiejszym już nawet nie wspomnę. Matka przyniosła im dzban kwaśnego mleka i postawiła trzy kubki. Oni powiedzieli: "Dawajcie czwarty!" Najpierw myśleliśmy, że oni są tacy uprzejmi, ale się okazało, że jak matka nalała te cztery kubki to oni powiedzieli, żeby gospodyni wypić pierwsza. Matka widząc już, o co chodzi, wypić niby tę truciznę, jako pierwsza. Wtedy oni wyraźnie uspokojeni, wygrzmocili parolitrowy dzban do końca, zagryźli sobie chlebem z białym serem i masłem. Byli przekonani nie tylko, że mają do czynienia z obszarnikiem, ale z jakimś magnatem, bo przecież widzieli tu chleb z masłem, który mogli jeść w dowolnej ilości. Taka to była skala różnic między nami. A oni przychodzili, aby nam przynieść coś nowego, coś co miało być lepsze. Po najedzeniu się, naładowali na wóz owsa w workach, na wierzch siana, podziękowali - byli dość grzeczni - odjechali. Potem zaczęły się tak zwane normalne kontakty z nową władzą radziecką. Przychodzili do nas z "sielsowietu" co się rozszyfrowuje po polsku "rada wiejska". Tworzyli ją albo tchórze, albo ludzie rzeczywiście będący u nich w kartotekach jako ich sympatycy czy kryptokomuniści. Wtedy ujawnili się tacy ludzie, którzy nagle zapomnieli języka polskiego. Między nami mówiąc, oni i przed wojną dobrze nim nie władali, bo mówili językiem "tutejszym". Zaktywizowali się ludzie, których nie można było posądzać o to, że mogą być tacy czynni. Pojawili się Żydzi ze Żdźięcioła z opaskami na ramionach. Mundurowców było mało. Przypuszczam, że NKWD od razu zaczęło

urzędować w większych ośrodkach, typu Nowogródek, Słonim, Żdźcioł. Natomiast u nas, w terenie mieli tylko swoich ludzi, zaufanych, już dawno u nich będących w kartotekach, agentów.

Byliśmy wtedy potwornie załamani, wiedzieliśmy, że już jest koniec, że będzie bardzo ciężko. Matka namawiała ojca - jak dziś to pamiętam - aby rzucić wszystko, krowy, konie, drób, wszystko co mamy i uciekać. To była nasza własność. Nadleśnictwo było państwowe, ale nadleśniczy mógł hodować. Matka już nie pracowała jako nauczycielka. Odeszła ze służby, ponieważ musiała się opiekować domem i dziećmi. Dom prowadziła bardzo gospodarnie. Miała wiele drobiu, były owoce, jarzyny, robiła przetwory, hodowała świnie, sprzedawała żywiec, było wiele nabiału. Mieliśmy się bardzo dobrze, aczkolwiek ojca pensja wcale nie była wysoka. Wynosiła nieco poniżej 200 zł. Aliści przypomnę, że nauczyciel nie miał nawet 120 zł, listonosz 110 zł. Jednak złotówka stała wtedy dobrze. To też nie można mierzyć ojca posady pensją, ale deputatem, czyli możliwością uprawy ziemi, produkcją. Ojciec był z miasta, nie znał się na gospodarce, ale mama, chociaż też pochodziła z miasta, miała dar organizacyjny i umiała gospodarstwo prowadzić. Oczywiście mieliśmy służącą. Był też urzędowy parobek. Nie był to właściwie parobek, a wozny nadleśnictwa. On opiekował się koniem, nadleśnictwem itd. Byliśmy wtedy bardzo załamani psychicznie. Dlatego matka mówiła: rzućmy wszystko i uciekajmy, tak jak stoimy, do Buga i przez Bug do naszych rodzin, do GG.

Z chwilą wejścia Rosjan ojciec przestał być nadleśniczym. Prysłano człowieka, który się przedstawił z nazwiska jako Dmochowski, nie pomnę imienia. Jak się okazało był to leśniczy - nie nadleśniczy, nie inżynier leśnik, ale leśniczy po szkole leśnej państwowej - nie uniwersyteckiej. Nie wiem, czy go przysłali natej zasadzie, że był ich człowiekiem. Prawdopodobnie.

Nie mogę jednak nikogo oskarżać, jak nie wiem. Zachowywał się fair. Był to Polak, a może ktoś kto mówił pięknie po polsku. Pierwszego dnia, jak przyjechał do nadleśnictwa, przedstawił się, że on jest gospodarzem tej placówki i do ojca, który dotąd tu rządził powiedział po rosyjsku: "Nam potrzeba ludzi wykształconych." Ni przypiął to, ni przyłatał, bo ojciec miał wyższe wykształcenie, a on nie miał, więc co on chciał przez to powiedzieć? Może chodziło o wykształcenie polityczne, może ideologiczne? Przez pierwszych parę godzin, a może dni, zachowywał się dumnie, potem zeskromniał. Ściągnął żonę i dzieci. Mieszkali też w nadleśnictwie. Urządzono dla nich te pomieszczenia. Ojciec pracował, jako jego podwładny. Djabli wiedzą, co oni już wtedy robili, nikt już lasu nie pilnował. Chłopi kradli drzewo, ile weszło! Ojciec już za to nie odpowiadał. [Liczyliśmy się z tym, że ojca aresztują. Jednak nie myśleliśmy o tym, że wywiozą całą rodzinę. W ciągu pierwszej nocy wywieźli 220 000 ludzi. Tych nocy potem było więcej, ale ta była pierwsza. Myśmy polecieeli w pierwszym rzucie. Polecieeli wtedy osadnicy wojskowi, leśnicy, niekiedy urzędnicy pocztowi - niewątpliwi Polacy i niewątpliwie ludzie, co do których nie mieli oni żadnych złudzeń, że ich życiorysy zawierają jakieś elementy uczestnictwa w wojnie polsko-radzieckiej. Dokumenty oni mieli doskonałe! [Ojciec ucieczkę odkładał. "Jeszcze poczekajmy, gdzież to teraz uciekać, taka straszna zima". Zima roku 1939/40 była wyjątkowa. Nie mówię tego dlatego, że nam się wtedy coś wydarzyło. U nas się teraz chętnie operuje określeniami "zima stulecia", "zima epoki". Tamtej zimy temperatury non-stop przekraczały minus 40 stopni. Liczyliśmy, że na wiosnę pójcichu uciekniemy do GG, czyli pod zabór niemiecki. Nie takie to było proste, z małymi dziećmi, wśród obcego żywiołu. Droga nie była łatwa. Na granicy strzelali, aresztowali, trzeba

było ją na czarno przechodzić. Wtedy takie ucieczki już się zdarzały. Ludzie samotni, leśnicy, gajowi, którzy bali się porachunków gdzieś znikali. Wiedzieliśmy, że oni przedostali się na zachód, czyli do Polski nie zajętej przez Rosję.

Ta nasza tymczasowość, ta niepewność trwała do lutego 1940r. Ja wtedy chodziłem do czwartej klasy w mieście Zdzięcioł i tam mieszkałem. Konia już nie mieliśmy. Koń, który nazywał się Bohun, został przekazany do Wojska Polskiego w czasie dużej mobilizacji koni, w sierpniu 1939r. Ojciec go odprowadził na punkt zbiorczy. Musiał to być koń doskonale utrzymany, zakwalifikowany do pierwszej kategorii, a Bohun do takiej należał. Musiał mieć doskonałą, pierwszorzędną uprzęż i przywieźć ze sobą solidny wóz, który miał służyć dalszej służbie wojskowej. W Zdzięciole mieszkałem u państwa Kozłowskich, którzy też mieli dzieci, które chodziły do szkoły. Była to szkoła z językiem polskim, uczyli przedwojenni nauczyciele, ale już zaczęto wprowadzać nowy ład. Przesłano kierownika z Rosji. Portrety dostojników państwowych i orły zmagazynowano w jednym pokoju. Pewnego dnia, mogło to być w październiku, widziałem jak młodzież ze starszych klas wynosiła orły oprawne w ramy i portrety prezydenta Mościckiego i marszałka Rydza-Smigłego i marszałka Józefa Piłsudskiego - w każdej klasie były te portrety - i składała na kupy na wozach. Prawdopodobnie zostały wywiezione i uległy zniszczeniu. Pamiętam, jak te obrazy niesiono, to młodzież ze starszych klas mówiła: "Baczość, prezentuj broń!"

W tym czasie, do lutego 1940 r. leśniczówka nie miała żadnego kontaktu ze światem. Czuliśmy się osaczeni w nadleśnictwie. Często byliśmy nachodzeni przez milicję. Byli to cywile z opaskami i karabinami na sznurkach. Stale ojca przepytywano na okoliczność: "Kto do was przychodzi z lasu w nocy". Oni byli przekonani - i

nie bez słuszności - że po lasach ukrywają się niedobitki policji państwowej, różni panowie, którzy mieli kiedyś majątki, a którym groziły samosady. Wiedzieli, że człowiek w lesie samodzielnie w czasie takiej zimy długo nie pociągnie, że musi skądś czerpać podstawowe rzeczy. Nowa władza samosady tolerowała. Znaliśmy pana - zapomniałem nazwisko - którego udusili sypiąc mu piasek do ust i do nosa. Przypominam sobie tego człowieka. Był to sympatyczny pan, który był chyba legionistą i dostał w naszych stronach większy folwarczek. Stało się to zaraz w pierwszych dniach po wkroczeniu Rosjan. Wtedy było mnóstwo samosądów. Rosjanie ludzi podpuszczali, mówiąc: "No, to się teraz rozliczcie z nimi, za te 20 lat sanacyjnej władzy, tego ucisku robotnika i chłopca przez polskich panów". Rodzice przekonywali milicję, że nie mają żadnego kontaktu z nikim z lasu, że nadleśnictwo jest w nocy zamknięte i że mogą to sprawdzić. I otóż 10 lutego - mnie w domu nie było, byłem u panstwa Kozłowskich w Żdzięciole, 9 km od nadleśnictwa - przed godziną 12 w nocy, zaczęto walić do drzwi nadleśnictwa. Było to w nocy z 9 na 10 lutego 1940 r. Mróz był straszny, trzaskający, minus 42, czy 43 stopnie. Drzewa w lesie pękały, bo soki zamarzały. Matka w szlafroku zeszła na dół - bo to był piętrowy budynek, i zapytała przez drzwi nie otwierając: "Kto tam?" "Otwórzcie, przyszliśmy się ogrzać". Matka mówi: "Nie otworzę, bo nas tu ze wsi podejrzewają, że mamy kontakty z kimś z lasu. Macie wioskę pół kilometra stąd, idźcie tam się ogrzejecie, droga prosta. Przecież, aby tu się ogrzać musieliście przejść przez tę wioskę." "Nie, my z lasu." Matka mówi: "Nie, bo z lasu byście tu nie dobrnęli w tym śniegu." Śniegi były wtedy dwu, trzymetrowe. Słyszy matka skrzyp śniegu pod nogami, tupią i naradzają się po cichu. Następane walenie: "Gospodyni otwórz, my z Rady Narodowej ^{przyszliśmy} spr-

wdzić, czy w domu są tylko zameldowani." Matka mówi: "Ten sam głos mówił przed chwilą, że tylko się ogrzać, a teraz, że kontrola, to ja tym bardziej teraz nie otworzę, dopiero w dzień." "Będziemy łamać drzwi". "No, to łamcie!" No, i się zaczęło. Wzięli jakieś żelazne "brechy" i zaczęli walić w drzwi. Walili chyba w 12 drzwi. Musieli najpierw wyłamać jedno do przedpokoju przed kuchnią. Następnie z przedpokoju do kuchni. Matka wycofując się przekręciła klucze. To wyłamali drugie - znaleźli się w kuchni. Tam było ciemno, nie było prądu elektrycznego. To były czasy przedwojenne i to były Kresy. Wtedy były lampy naftowe. Po ciemku, świecąc sobie lampkami, doszli do kuchni i zaczęli łamać następne drzwi do kolejnego przedpokoju łączącego kuchnię z pokojem stołowym i z gabinetem ojca. Dom był okazały - państwo-woy nie nasz, służbowy. Wyłamali już trzecie drzwi. Wyłamali także drzwi do spiżarni - myśleli, że tam się wchodzi do pokoju - gdzie wisiały pęta kiełbas, słonina wędzona, były zaprawy, konfitury. Tam sobie trochę ulżyli. Po jakimś czasie, nabrawszy się zaczęli łamać prawidłowe drzwi do pokoju stołowego. To już czwarte drzwi. W pokoju wyłamali drzwi do sypialni rodziców, ale kiedy tam się znaleźli, już nikogo nie było. Wobec tego rąbali następne drzwi, w lewo do klatki schodowej. Jak się znaleźli w klatce schodowej, bali się iść na górę. Bali się, że jak pójdą po schodach, to w nich będzie ktoś strzelał. Jak się ma nieczyste sumienie, to się spodziewa wszystkiego. Więc stali i krzyczeli: "Wychodź, bo spalimy dom". Dom był piękny, ale oczywiście drzewiany, jak to dawniej bywało na Kresach, z belek modrzewiowych. Zapalił by się jak zapałka. "Wychodź, bo nasze nerwy są na wyczerpaniu." Matka wzięła mego brata Konrada na rękę. Brat miał lat sześć. Niosła takiego już dużego chłopaka i w nocnej koszuli, powoli zaczęła schodzić ze schodów. Widziała wtedy następujący obraz: Trzech

żołnierzy w budzionówkach z czubkami, z wycelowanymi w górę schodów karabinami z nałożonymi bagnetami, a za nimi dwóch ludzi pochodzenia żydowskiego. Była to miejscowa milicja, ci kolaboranci, jak byśmy ich dziś nazwali. Wtedy nie znaliśmy tego słowa. Oni mieli cywilne ubranie, karabiny i opaski na rękę z napisem cyrylicą, w języku rosyjskim "Milicja". Za matką, która niosła brata szedł mój ojciec. Zeszli na dół. Kazano im się odwrócić twarzami do ściany, obrewidowali ich, kazali się odwrócić i powiedzieli: "Macie 30 minut czasu na ubranie się i spakowanie niezbędnych rzeczy." "Jakich rzeczy" - spytała matka. "Na krótką podróż, jedzenie i ciepłe ubranie dla was i dla dzieci". "A dokąd my jedziemy?". "Wysyłamy was na niemiecką granicę." Tak wyglądało usypianie czujności ludzkiej. Rodzice sądzili, że usuwają element polski z Kresów Wschodnich do Generalnej Guberni.

Matka poszła z moim bratem do pokoju stołowego, a on za nią. Matka mówi: "Czy pan myśli, że ja się będę ubierała przy panu?" Posłuchał i został przy drzwiach. Matka, w koszuli, odsunęła łóżko od ściany. Na ścianie za łóżkiem wisiał kilim. Był to element dekoracyjny, ale równocześnie maskujący, bo w ścianie był kominek. Nie taki wystający, tylko w ścianie były ładne niklowane drzwiczki. Tam można było palić, był ciąg do komina. Ten kominek służył matce, już od jakiegoś czasu, do przechowywania biżuterii: obrączki, pierścionka, bransoletki - miała złoty zegarek z bransoletką. Był to schowek na wypadek rabunku. Tam też miała jeszcze kilka wartościowych rzeczy z ubrań. To wszystko skrzętnie wzięła i położyła na dnie kufra. Na to zaczęła wrzucać z szafy wszystko, jak popadło. Zdejmowała z wieszaków i ubijała w kufrze. Jak to wszystko ubiła, podtoczyła spod ściany maszynę zingero-wską, na której umiała szyć, postawiła przy kufrze, następnie ubrała siebie i brata i wyszła, mówiąc: "Jestem gotowa, a to są

nasze spakowane rzeczy." Być może - a najprawdopodobniej tak jest na pewno - że to nam uratowało w ogóle życie, że matka nie wpadła w panikę, a tylko na zimno spakowała to co najdroższe. Bo potem te rzeczy sprzedawało się za parę ziemniaków.- ale do tego jeszcze wrócę. [Potem wyniesiono rzeczy przed dom. Przed domem stały sanie chłopskie zaprzężone w jednego konia. Na sanie wrzucili te dwa, trzy kuferki, maszynę do szycia, posadzili brata i powiedzieli: "A wy pieszkom za saniami". Sami byli na koniach. I tak rodzice, jak taka branka na Sybir, zostali przewiezieni do Żdzięcioła. A tam zastali "piekło na ziemi", bo na Rynku wokół kościoła - zresztą pięknego - takich, jak moi rodzice, z saniami, przywiezionych zewsząd, było parę set rodzin. [Mnie tam nie było. Matka podeszła do jakiegoś "komandzira" i mówi: "Jeszcze syn mój nie jest z nami". "On koniecznie musi być z wami, gdzież on jest?" "On chodzi tu w Zdzięciole do szkoły." "Idźcie po niego." Dali matce czerwonoarmistę z karabinem z nałożonym bagnetem. Szedł za nią - prawie w plecy utykał jej bagnet. Tak matka przyszła do państwa Kozłowskich. Ja jedząc śniadanie - to było raniutko, około godz. 7.00 - zauważyłem przez okno idącą matkę w kożuszku i za nią czerwonoarmistę w budzionnowce na głowie. Matka weszła i powiedziała: "Dzień dobry państwu, zabierają nas. Przyszłam po Sławka". Ubrałem się, chciałem zabrać książki, żołnierz mi zakazał i wrociliśmy z matką na Rynek. Staliśmy przy swoich saniach. [Przyjechały ciężarówki, załadowano rzeczy i ludzi, i przewieziono do stacji kolejowej Nowojelnia - była to najbliższa stacja kolejowa - i załadowano po 40 osób do jednego wagonu. Oczywiście, gdy rodzina była większa, to w wagonie znalazły się 42 czy 43 osoby. Rodzin nie dzielono. Były to wagony towarowe, kryte, z dachem. Wagony były tak urządzone, że na środku, naprzeciw drzwi miały wyrąbaną dziurę. Każdy wagon towarowy miał dwoje drzwi.

Jedne były na stałe zabite deskami. Jak się później okazało, wyrębana na środku wagonu w podłodze dziura miała służyć do załatwiania potrzeb fizjologicznych - wprost na tory. Obok, na podłodze była przybita blacha, na niej ustawione dwie cegły, a na nich przymocowana beczka z wyciętym otworem do wrzucania czegoś do palenia. Od beczki był odprowadzony, przez dziurę w dachu, prowizoryczny kominek blaszany. Paliwa żadnego nie było. Po lewej i po prawej stronie, na wysokości wtedy mojej głowy, były zrobione prycze. Jednym przypadło bytowanie na podłodze po lewej stronie, drugim na podłodze po prawej, trzecim na pryczach na górze po lewej, a czwartym na pryczach po prawej stronie. Każda prycza służyła dwom rodzinom. Nas było czworo i czworo z innej rodziny. Poza tym siedzieli ludzie na przodzie. Oczywiście jeszcze do tego trzeba dodać rzeczy, kufry tych wszystkich rodzin. Aliści, jak mówi Waldorf, dzięki zapobiegliwości i trzeźwości umysłu mojej matki to byliśmy krezusami z naszymi kuferkami. Bo niektórzy z domu wyszli tak, jak stali, bo najpierw się z nimi użerali, tamci byli wściekli, to im nie pozwolili nic zabrać. I tak niektórzy już od pierwszego dnia brali jedzenie od nas, czy od innych takich co mieli. [Cały wagon od środka był pokryty szronem. Jak się zasnęło, dotykając rękawem płaszcza ściany, to jak się chciało wstać nie można było oderwać płaszcza, bo przymarzył do ściany. To było straszne! Ale największym szokiem było załatwianie swoich potrzeb fizjologicznych. Jesteśmy przecież ludźmi cywilizowanymi. Jak załatwiać się przy czterdziestu ludziach? Ze wszystkich półek widzą. To są rzeczy okropnie krępujące. W wagonie znajdowały się cztery okienka zabite na głucho deskami i owinięte drutem kolczastym. Formowanie pociągu, zakwaterowywanie rodzin w wagonach trwało do wieczora. Wieczorem pociąg ruszył.

Zanim przejdę do opisanja dalszych losów rodziny powiem kilka

słów o strukturze nowych władz. Otóż obok władz normalnych administracyjnych istniała druga struktura tajnych służb NKWD i to byli faktyczni władcy i trzecia struktura władz partyjnych, którą tworzone z dwóch elementów: z ludzi przywiezionych z Rosji i miejscowych kryptoczołków Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Pozornie występowała trójwładza, jednak faktycznie NKWD to był pan życia i śmierci każdego swojego człowieka, a tym bardziej nas. To oni realizowali wywózkę. Wtedy szefem rosyjskiej bezpieki był Beria, podobno Gruzini z pochodzenia. Gruzini się go wypierają, twierdzą, że to nie ^{Gruzini} Gruzini, a człowiek należący do takiego klanu z Gruzji Zachodniej, którego członkowie rządzą się specyficznymi prawami i nazywają się Mingrelowie. O nich była niedawno mowa, kiedy wystąpiła wojna domowa w Gruzji. Oni popierali obalonego prezydenta Gamasachurdia. Mingrelowie zajmują teren w pobliżu Sukhumi. W późniejszym okresie będąc tam, dowadywałem się na miejscu, kim oni właściwie są. Gruzini mówią, że są to Żydzi, którzy kiedyś, w czasach biblijnych, uciekli z Ziemi Świętej przed prześladowaniami egipskimi i osiedlili się na Kaukazie, w niedostępnych miejscach. Zlali się z miejscową okoliczną ludnością i utworzyli coś nowego, coś co jest znacznie wredniejsze niż każdy Gruzini, Ormianin, czy Azerbejdżanin oddzielnie wzięty. Gruzini się Mingrelów wypierają, prawdopodobnie wstydząc się Berii, ponieważ mają już na swoim koncie Jossifa Wissarionowicza Dżugaszwili ^{Stalina}. Całą strukturą NKWD dowodził Beria. Nad nim stało Biuro Polityczne. A na Biurze Politycznym rządził Stalin. Między innymi tam właśnie zapadła decyzja o losie polskich oficerów trzymany bezprawnie w niewoli. Przecież myśmy z nimi nie byli w stanie wojny. Oni nie mieli prawa brać jeńców wojennych, a jeżeli już wzięli to powinni ich traktować zgodnie z konwencjami genewską, haską itd., a oni ich

poprostu zamordowali: z Kozielska w Katyniu, ze Starobielska w Charkowie i z Ostaszkowa w Miednoje. Wiemy, jaki był los polskich oficerów. W takich rękach myśmy się znaleźli.

W nocy ruszyliśmy z Nowojelni i nastąpił kolejny szok. Wszystkim mówiono, że jedziemy na niemiecką granicę, a ojciec zobaczył napis "Baranowicze". Staliśmy tam długo. Następny napis, jaki ojciec w szparze między deskami zobaczył, to "Stołpce". Już wiedzieliśmy, że jedziemy nie na zachód, a właśnie w odwrotnym kierunku. Stołpce, była to ostatnia przedwojenna polska stacja na granicy polsko-sowieckiej. Następna, to już było Niegorełoje, potem Minsk. Dalej pociąg ominął Moskwę - widać było tylko jej światła. Jakąś boczną objazdową trasą pojechaliśmy "jak sierpem rzucił" na północ. Zatrzymaliśmy się na stacji Konosza. Postaliśmy trochę - ja mówię krótko, ale to były tygodnie - zaczęliśmy naszą drogę 10 lutego, a wylądowaliśmy na miejscu 6 marca. Ale jeszcze przedtem była stacja Siniega. Jest to już boczne odgałęzienie głównej linii kolejowej, która prowadzi z Moskwy do Archangielska, na północ nad Morze Białe. W Konoszy jest odgałęzienie, które w czasie wojny, siłami między innymi Polaków, jeńców i więźniów, przedłużyli przez Siniegę, Wielsk do Kołtasu. Z Kołtasu do Workuty i dalej w górę, na północny wschód, na sam koniec północny Uralu. Linia ta przekroczyła północny Ural i skończyła się już w Azji, nad Oceanem Lodowatym.

W czasie jazdy jedyną rzeczą jaką niekiedy otrzymywaliśmy to był wrzątek. Oddrutowywano, odplombowywano jedne drzwi wagonu i wołano: "Jeden człowiek z wiadrem po kipiatak". Przynosił on wrzątek i nic poza tym. Dwa, a może trzy razy pozwolono nam zdobyć opał. Nie było to tak, że opał leżał, i bierz węgiel czy drewno, tylko wyskakiwali ludzie i rąbali, łamali kolanami płoty. Przy

stacjach płoty były drewniane. Ludzie brali kawałki tych płotów do wagonów. Kiedyś widziałem jak stał przywiązany do płotu koń zaprzężony do sań. Jak ludzie płot zburzyli, to odrąbali koniowi dyszle. Koń z dyszlami został, a drewniane sanie też porąbali i wrzucili do wagonu. Ludzie, jak mają zimno i są głodni to chwytają wszystko jest pod ręką. A oni na to przymykali oczy. Widocznie byli do takiego żywiołowego traktowania pewnych rzeczy przyzwyczajeni.

O żadnej próbie ucieczki nie słyszałem. Natomiast były przypadki śmierci, zwłaszcza niemowląt i małych dzieci. Dzieci te zabierano od rodzin, prawdopodobnie wrzucano w śnieg przy torach. Ludzie chorowali. Były przeziębienia, rozwolnienia, dezynterie - chociaż to była zima. Prostu załamanie, rozpacz, zimno, głód spowodowały to, co spowodowały.

Wyładowano nas na stacji Siniega. Wówczas tam się kończyła linia kolejowa, to odgałęzienie, i przewieziono nas stamtąd ciężarówkami do miasta Wielsk. Wielsk leży nad rzeką Wagą. A rzeka Waga jest lewym dopływem Dźwiny Północnej. W Wielsku umieszczono nas w szkole, którą otoczono kordonem wojska. W tym czasie tamtejsze dzieci nie miały nauki, ponieważ szkołę zajęto dla aresztowanych Polaków. Tam czekaliśmy nie wiedząc na co. A w szkole działy się dantejskie sceny. Ludzie mieszkali nie tylko we wszystkich klasach, ale na korytarzach, przy ustępach, na schodach, gdzie tylko się dało. Prostu stłoczono wszystkich w jednym budynku, aby ich lepiej upilnować. W budynku były ubikacje, ale nie były one przystosowane dla tylu osób. Natychmiast zostały zatkane, były niedrożne. Nie były to ustępy takie jak u nas, spłuczkowe tylko tureckie. Zostały one tak załadowane odnodami ludzkimi, że fekalia wylewały się z ubikacji na schody. Ciekło to wszystko, mocz, kał, w dół. Pamiętam też z Wielska taką bardzo

wstrząsającą scenę. Mianowicie była tam dziewczyna, mogła mieć z 16 lat, która w wyniku szoku doznanego przy aresztowaniu dostała odruchu nerwowego w postaci śpiączki. Może, gdybym na to patrzył dzisiejszymi oczami, z tym zasobem wiedzy jaki dziś posiadam, to może bym sobie to wytłumaczył śpiączką cukrzycową, a może to była śpiączka jeszcze innego typu. W każdym razie ona żyła, ale na nic nie reagowała. Miała zamknięte oczy, była ciepła, a więc nie była zwłokami, ale też cały czas nikt z nią nie miał kontaktu. Co rodzina jej dawała, żeby ona nie umarła, czy wlewali jej do ust jakiś płyn, nie wiem. Tak się rozstaliśmy, bo po kilku dniach pobytu w tym strasznym piekle, w szkole w Wielisku, pewnego ranka nam powiedziano żeby ładować rzeczy na sanie, które znajdują się na dole. Oczywiście wszędzie było obstawione wojskiem i oddziałami NKWD, z karabinami gotowymi do strzału. Władowano rzeczy i dzieci poniżej lat 14. Każda rodzina dostała jedno sanie. Przy saniach stali Rosjanie - wieśniacy, nazywano ich Czełdonami. Czełdonowie, to są Rosjanie z północy, o specyficznym sposobie mówienia. Mowią dialektem północno-rosyjskim. Mnie dziś, jak jakiś prawdziwy Rosjanin słucha, to mówi, że ja świetnie mówię po rosyjsku, ale "okam". "Okać" to znaczy mówić z akcentem północnym. Na czym to "okanie" polega? Otóż tam gdzie Rosjanin przekształca "o" w "a", to oni nie przekształcają. Dla Rosjanina pisze się "Moskwa", a on czyta "Maskwa", pisze się "wielikogo", a on mówi "wielikawo". Ludzie z północy tak mówią, jak się pisze: "wielikogo", "sowieckiego sojuza". Ludzie w centralnej Rosji mówią: "sowieckowo". To "go" przechodzi w "wo". Nie ma przepisów na to, kiedy tak mówić, robi to się na wyczucie. Kiedyś zdawałem egzamin z języka rosyjskiego w Orbisie. Chciałem zostać pilotem wycieczek. Rusycystka z uniwersytetu, wchodząca w skład komisji egzaminacyjnej - mimo, że ja świetnie znam

rosyjski w piśmie i w mowie - dała mi "czwórkę". Mam tu maszynę do pisania, posługuję się nią, jak trzeba komuś coś napisać do Rosji: jakieś podanie, prośbę, ktoś kogoś poszukuje, komus przetłumaczyć streszczenie pracy na zjazd itd. Ja dostałem "czwórkę", a inni, którzy nie znali rosyjskiego mieli "piątki". Wtedy rządono się innymi kryteriami. Kim niektórzy piloci byli w rzeczywistości? Część z nich była prawdopodobnie agentami UB, bo ich znajomość języków była żadna, a oni egzaminy zdawali i zostawali pilotami, a ja który znałem język rosyjski jako tak zwany Sybirak, usłyszałem od pani egzaminator słowa: "Miałby pan "piatkę", ale pan mówi akcentem północnym". Odpowiedziałem jej: " Proszę pani, mnie "czwórka" wystarczy, tylko jakim się miałem akcentem nauczyć mówić, przecież na Uniwersytecie Łomonosowa w Moskwie nie byłem. Moim uniwersytetem była daleka Północ. Ponieważ jednak był to rok 1987, nie mogłem powiedzieć, że jestem "čpiecpiresiedleniec". Powiedziałem, że zostałem tuż przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej ewakuowany. Cóż miałem innego mówić, żeby nie został pilotem? Tyle razy dostawałem w życiu w łeb, to jeszcze tutaj się wyeliminować! Toż dzięki temu, że byłem pilotem znam Soczi i Suchumi. Jeździłem parę razy z wycieczkami. Teraz się wszystko ucięło, bo kto teraz tam pojedzie? Nasze wycieczki miały taki sam charakter, jak teraz wycieczki rosyjskie - handlujący. Z tym, że handlującym Rosjanom u nas - jak ich spotykam mówię, że przy sprzedawaniu w Polsce mają komfort, nie muszą się oglądać po bokach. Nasi jak handlowali u nich, gdzieś w bramie, byli narażeni przez cały czas na zabranie im wszystkiego przez milicję, bo handlować u nich nie było wolno. Teraz to już chyba można! A ci tu przyjeżdżają legalnie i legalnie wystawiają swoje nędzne, bo nędzne, prawie bezpłatnie sprzedawane, ale sprzedawane rzeczy. Nasi też za bezcen sprzeda-

wali, tylko że przez cały czas byli pod presją lęku, że za chwilę ich capnie milicja, zabierze im wszystko, i to co utargowali i to co jeszcze chcą sprzedać, zostaną goli i jeszcze im paszport skreśla.

W Wielsku wladowali nas na sanie, na których przejechaliśmy następne 220 kilometrów. Dorośli szli pieszo za saniami, w towarzystwie jadących na małych włochatych koniach enkawudystów ubranych w szynele, uzbrojonych w karabiny z bagnetami na sztore albo w nagany. Nagany mieli przy pasie oficerowie. Enkawudyści jechali na początku kolumny, z tyłu i pośrodku. Ucieczka była niemożliwa. Dokoła były straszliwe lasy i straszliwe śniegi i panowały straszliwe mrozy. Wraz z nami jechali ci sami ludzie, z którymi ojciec pracował w lasach: leśniczowie, nadleśniczowie, gajowi, osadnicy wojskowi, urzędnicy pocztowi - niektórych znam - a niekiedy nawet i zwykli chłopci - tak mi się wydawało. Mało tego, wśród nas byli też Białorusini. Prawdopodobnie kryteria jakie decydowały o wywóźce sprowadzały się do tego, aby usuwać przede wszystkim element polski, patriotyczny, który się nie podda żadnym wpływom ideologicznym, czy przekształceniu mentalności i ludzi, na których ktoś doniósł, tak sąsiad na sąsiada, że był podoficerem w Wojsku Polskim, może kapralem czy plutonowym w służbie zasadniczej. O tym, że z nami byli też Białorusini jestem przekonany. Potem, wiele lat później, jak moja mama wypełniała dla nich ankiety oni mówili, że są Białorusinami, obywatelami polskimi, przy tym bali się, że im nie pozwolą wyjechać do Polski, mówiąc że ich ojczyzną jest Białoruś Radziecka. I tak jechaliśmy stając na noc w rosyjskich wsiach dalekiej północy. Każda rodzina w innym domu. Oczywiście byliśmy pilnowani. Żadnego jedzenia nadal nie otrzymywaliśmy. Gospodarze dawali nam tylko kipiatak - wrzątek. Wrzątek to jest coś, co się świadczy gościom za darmo. Na nas pa-

trzyli, jak na ludzi z innej planety. Nie byli rozmowni, bali się mówić, odpowiadali półsłówkami. Było tylko u tych ludzi widać zachwyt naszym ubraniem, wyposażeniem i resztkami jedzenia, które nam jeszcze w podróży zostały. Ktoś miał kawałek kiełbasy wędzonej, czy jakąś słoninkę, czy pasztet, czy co tam innego, co zdążył chwycić ze spiżarni, to widać było, że patrzyli na to, jak na specjalne rarytasy. U nich nie było nic! Oni nawet herbatę u siebie w domu na samowarach parzyli nie z herbaty tylko z liści borówki lub różnych kombinacji roślin leśnych. Oni wiedzieli, co to jest herbata, ale nie mogli jej dostać. Po prostu nie mieli na nią przydziału. Cukier mieli krystaliczny w kawałkach, który sobie rąbali na kawałeczki, brali do ust i na to pili herbatę. Bieda była tam straszna, wprost dla nas niewyobrażalna. Mieszkają oni w sposób praktyczny dla tamtejszych szerokości geograficznych. W jednym budynku mieści się wszystko. Przed domem jest reprezentacyjny z belek ręcznie rzeźbionych, w tradycyjne wzory stosowane w tych stronach od wieków - podobnie jak mają nasze kurpiowskie, czy góralskie chałupy. Ściany są wykonane z szerokich, grubych bali sosnowych. Podłogi są także drewniane. W środku stoi stół nakryty obrusem, przysunięty do jednego narożnika, a w tym narożniku jest półka, a na półce stały ikony - święte obrazy - ale stały kiedyś. Przed tymi świętymi obrazami wisały lampki olejne. Jak tam byliśmy, to nie świeciły, bo nie miały komu świecić. Świętych albo zniszczyły czołówki rewolucyjne, albo musieli ich gdzieś schować, czy zakopać, bo określenie "wierzący", to był wyrok. Popów przecież wywieziono z północnej i centralnej Rosji na wyspy Sołowieckie już w 1920 r.

Tego, kto mi dziś mówi, że to dopiero po Leninie zaczęło się bezprawie, to ja się pytam, a kiedy była Czerezwyczajka? To były lata 1918 i 1917. Wtedy Lenin był żywy i zdrowy. Na wyspach So-

łowieckich wszyscy popi rosyjscy zginęli z głodu, wszystko co się dało zjedli: trawę, korzenie, obgryźli drzewa i poumierałi. Te wyspy są na środku Morza Białego.

Tak się znaleźliśmy w posiołku Uksora, tarniański sielsowiet, Szenkurski rejon, archangielski^u obłast. Dojeżdżając do tego posiołka, ojciec nawiązał kontakt /bo znał dobrze język rosyjski/ z naszym furmanem, tym który prowadził konia i dowiedział się od niego, że każdy kołchoz musiał do Wielka dostarczyć określoną ilość sań z końmi i z ludźmi do przewiezienia kogoś. Ojciec rozmawiał z tym starszym człowiekiem dłużej. On mówił, że już raz, 10 lat temu, wioził takich jak my. Był to więc rok 1930. W 1930 r. zaczęła się masowa akcja kolektywizacji, między innymi na Ukrainie. Wtedy wywożono tak zwanych "kułaków". A tymi "kułakami" na Ukrainie, przy polskiej granicy, byli przede wszystkim Polacy, bo oni mając inne wzorce kultury rolnej umieli dobrze gospodarować. Były to polskie wsie w okolicach miast: Żytomierza, Kamieńca Podolskiego, Żmerynki, dalej Proskurowa, której dziś nazywa się Chmielnicki i nikt nie wie, że to jest dawniejszy Proskierów albo Proskurów. Są to tereny, gdzie nasz pan Zagłoba hulał. Nie mówię o tej dalekiej Ukrainie, ale o tej, która była w granicach Rzeczypospolitej Polski do 1920 r., czyli do czasu ustalenia granicy na Zbruczu. Linia Curzona, to jest w ogóle złodziejska granica, jest bez Lwowa i bez Wilna, ale już i tanta była krzywdząca. I tych "kułaków" z Ukrainy też wysiedlili do Uksory. Tylko nas wysiedlili w "lepsze warunki", bo ich przywieźli i zostawili w lesie, w środku pierwotnej puszczy, puszczy, która nazywa się tajgą i powiedzieli: "Tu żyjcie. Jak wyżyjecie to będzie wasze, a jak nie wyżyjecie to pójdziecie do ziemi". No, to mni wzięli się do wyrąbywania lasu. Z wyrąbanego drewna sklecieli baraki - jak w czasie gorączki złota

na Alasce - i tam mieszkali, aż wymarli. Jak poumierali to pochowali wszystkich na cmentarzu, baraki zabili deskami i następnii Polacy przyjechali tu już na gotowe. Nas osiedlili właśnie w tych barakach. Dostaliśmy pokój, który dzieliliśmy jeszcze z trzema rodzinami. Pokój, to brzmi dumnie! Ale to była klitka, w której mieszkały 4 rodziny: państwa Plachimowiczów - Ignacy Plachimowicz, żona i dwie córki, Antoni Kucharski - mój ojciec, i moja matka i ja i mój brat, państwo Nodzeńscy - leśniczy, mąż i żona, bezdzietni i pan Ernest Zwardoń - leśniczy pochodzący, nomen-omen ze Zwardonia, tego co się mieści w Beskidzie Śląskim. Jedenastka piłkarska, cztery rodziny w jednej klitce, z jedną kuchenką. Spanie było na pryczach, które wykonane były z desek ułożonych na kozłach. Nie były to deski z tartaku, ale ledwie obśrupane okrągłaki. Pod pryczami znajdowały się nasze osobiste rzeczy. Barak mógł mieć 30 m długości. Cały był drewniany. Niczego tam nie było metalowego. Dach także stanowiło kilka warstw ułożonych na siebie desek, tak żeby nie przeciekało jak śniegi topniały. Niedobitki pierwszych przesiedleńców nazywanych Ukraincami mieli kołchoz. Uprawiali ziemię na wyrąbanych, wypalonych terenach po lesie. To była rozpacz, nie kołchoz! Nazywał się dumnie im. Trzeciej Pięciolatki. Nasi nie pracowali w Kołchozie tylko przy wyrębie lasu. Praca przy wyrębie lasu była tak zorganizowana, że ludzie nie wychodzili z domu do roboty tylko mieszkali na "uczastkach", na działkach w głębi lasu, w jeszcze prymitywniejszych schronach. W lesie pracowali mężczyźni i kobiety, Wychodzili rano, skoro świt, pod komendą "dziesiętników" i piłowali drzewa, obciosywali z konarów i gałęzi. Potem takie kloce, przez cały sezon: lato, jesień i zimę, ściągali wraz z końmi na brzeg drogi. Jak nadchodziły mrozy, drogę polewano wodą, robiono "lednik". Następnie koń szedł brzegiem tego lodu i na haku

ciągnął jadący po lodzie bal drewna. Drewno ściągano na brzeg rzeki. Nad brzegiem rzeki układano drzewo w olbrzymie sterty i ono tam czekało do chwili "ledochoda". Kiedy już lody popękały - działo się to w końcu kwietnia, na początku maja - i spłynęły, wtedy strącano do rzeki - była to nieduża rzeka - to drewno, które dalej było transportowane wodą. Potem trzeba było pilnować, aby te kłocę płynęły z biegiem rzeki i nigdzie nie zatamowały spływu, więc na zakrętach i zakolach rzeki stali ludzie z bosakami i odpychali kłody, żeby dalej płynęły. Nieraz jednak zdażyło się, że tyle drzew się spiętrzyło, cała masa, że można było suchą nogą przejść na drugi brzeg rzeki. Wszystko było wtedy zatkane. Żaden spływ dalej nie mógł się odbywać.

W lesie pracowali i ojciec i matka. Ja nie pracowałem, miałem wtedy 11 lat. Pracowali wszyscy dorośli. Kto pracował, otrzymywał większą porcję chleba od tego, który nie pracował. Oczywiście był przymus pracy. Kto był zdolny do roboty, a nie pracował nie dostawał żadnej żywności, a ponadto był natychmiast zaaresztowany jako sabotażysta. Praca była "najwyższym zaszczytem człowieka". Tak oni tam wszędzie na transparentach pisali. Hitlerowcy w Oświęcimiu pisali: "Arbeit macht frei" - praca czyni wolnym, czy przynosi wolność, a oni tu głosili: "Nie będziesz nigdy człowiekiem, jak nie będziesz pracował". Do pracy musiał iść każdy, kogo uznali, że jest dorosły, czyli od 16 roku życia. Były trzy kategorie żywienia. Przydział nazywał się "pajok". Był "pajok" dla niepracujących - 400 g chleba, dla pracujących z średnim natężeniem ciężkości pracy - 600 g i dla ciężko pracujących 800 g chleba. Tylko, że między chlebem naszym w Polsce, a tamtym "chlebem" nie ma porównania. To tylko z nazwy był chleb. W rzeczywistości była to czarna masa bezkształtna, ociekająca wodą. A jakim ona była wtedy przysmakiem! Masa ta była, w pełnym tego słowa znaczeniu,

w normalnych warunkach, niejadalna. Była ona robiona z czegoś, co już było odpadami ostatniego rzędu. Oni najpierw musieli karmić wojsko, władzę, swoją ludność, a to co już było nie do zjedzenia to dawano nam, którzy musieliśmy to jeść, żeby nie umrzeć natychmiast z głodu. Był to mały sześcianik. Te 400 g chleba, który ja dostawałem jako niepracujący był dokładnie wielkości dwóch pudełek zapalek położonych jedno na drugie. Proszę sobie pomyśleć, jaki ciężar gatunkowy był tego sześcianika, że on ważył 400 g. Chleb był ważony przy każdym, jak stał w kolejce, i był obcinany nożem, nawet parę okruszynek było obcinanych lub dodawanych, żeby tylko waga wynosiła 400 g, a nie 400,03 g. I tak analogicznie wyglądały większe porcje. 600 g to wielkość 3. pudełek, a 800 g to 4. pudełek zapalek. Ludzie bardzo głodni i już tacy co się kończyli, to chwyтали i takie 400 g "chleba", na dwa razy wkładali do ust. Ale było to bardzo nierozważne. Trzeba było sobie ten chlebek dzielić na małe kawałeczki i żuć, jak gumę. Żeby zawsze mieć coś w ustach. Oprócz chleba była jeszcze w stołówce wydawana zupa. Nazywała się "Szczęka". Była to woda i Liście kapusty, ale nie białe ze środka główki, jakie się u nas używa do kapuśniaku, czy bigosu, tylko te zewnętrzne, ciemno zielone, prawie czarne, grube i już właściwie nie nadające się do użytku, chyba tylko dla bydła i dla nas. Właściwa kapusta szła dla ludności miejscowej, do kiszenia, dla wojska, bo jak wiemy kapusta kiszona chroni człowieka przed różnymi chorobami, przede wszystkim przed awitaminozą C.

W sklepach nie można było nic kupić, bo nic nie było. Jedyne sklepy, który pamiętam, to taki gdzie można było kupić płyty gramofonowe z nagranyimi przemówieniami Stalina. Raz widziałem w sklepie, który był rozpaczliwie pusty, który miał tylko chorągiewki pierwszomajowe na sprzedaż, mały fortepianik dziecięcy, jak

dla lalki Barbie. To była dla mnie rzecz niesamowita, że ja widzę taką zabawkę. Oczywiście sobie nie kupiłem, bo nie miałem ani za co, ani po co kupować. Mnie byłaby potrzebna kromka chleba, ale pamiętam o przemówieniach a o fortepianiku ponieważ w tych sklepach nie było nic poza tym. Służbowi i funkcyjni Rosjanie mieli kartki, myśmy kartek nie mieli, bo byliśmy karmieni przez posiołek Uksora, przez jego władze, jako ich robotnicy fizyczni. Pieniądzy żadnych za pracę nie dawano, bo pieniądze tam nie miały żadnego znaczenia. Istniał jedynie handel wymienny. I otóż właśnie teraz powiem, jaki los spotkał wszystkie rzeczy, które mama zdażyła zapakować. Wszystko to zostało wymienione na żywność. Rodzice moi nie byli bogaci - odrazu to oświadczam - pochodzili z nie bogatych domów. Ojciec był jednym z wielu dzieci kowala w Radomiu, a matka była córką, jedną z wielu córek i synów człowieka, który prowadził w Sądowej Wiszni własny warsztat stolarski, zajmujący się wyłącznie produkcją i układaniem parkietów artystycznych. W czasie ofensywy gen. Brusilowa, w czasie pierwszej wojny światowej, Sądowa Wisznia - po wycofaniu się Austro-Węgieł - wpadła w ręce Rosjan. Natychmiast / carska Rosja była taka sama, jak i ta / wywieziono wszystkich dorosłych mężczyzn, jako poddanych austro-węgierskich na Sybir, i mój dziadek - po linii mojej mamy - wrócił z tego Sybiru w 1918 r, jako człowiek bardzo schorowany i wkrótce zmarł. Babcia - matka mojej matki - została wraz z pięciorgiem dzieci, tak jak stała. Ich dom w Sądowej Wiszni był zrujnowany, bo Rosjanie w ich willi trzymali konie. Jak babcia z dziećmi wróciła z Moraw, to w domu był nawóz, łajno końskie, siano i słoma. Nie było śladu po parkietach i po żyrandolach, wszystko było zdewastowane. Dziadek miał więcej domów w Sądowej Wiszni i we Lwowie. Babcia domy te stopniowo sprzedawała lub dawała zakonnikom, SS Niepokalankom w Wirowie. Jeden dom dała za jedną

córkę, drugi za drugą, trzeci za trzecią, czwarty za czwartą, a syn sobie radę dał, bo był osadnikiem wojskowym w Żabczycach koło Pińska, był przecież uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej, w 1920 r. Cztery domy poszły na wykształcenie czterech córek. Zakonnice musiały za coś utrzymywać swoje uczennice, za coś je uczyć. Za te kamienice, które babcia dała zakonnicom, wszystkie jej córki, czyli moja matka i trzy ciocie, skończyły Seminarium Nauczycielskie w Wirowie i wszystkie były nauczycielkami - ciocia Stawiarska, ciocia Borecka, moja mama i ciocia ~~Łątkowska~~^{Ładowska}.

W Uksorze pieniądz nie miał wartości. Wartość miały jedynie rzeczy. To co zdążyła mama zabrać z domu, to nam uratowało życie. Mama wymieniała rzeczy z miejscowymi Rosjanami i Ukraińcami - oni jednak coś mieli, a my nic - np. maszyna Singera, gabinetowa, piękna, została przez moją mamę sprzedana za ronderek ziemniaków i dwa jajka. Ponieważ mama nie mogła zostać bez maszyny, to jeszcze do tego dostała maszynę ręczną, bardzo topornej, prymitywnej rosyjskiej roboty, która to maszyna ratowała nam życie. Mama szyła chałupniczo, po godzinach pracy tamtejszym ludziom to co przynieśli do uszycia - sukienkę, koszulę. Pamiętam, że koszule: mama szyła z rozprutych worków z dumnym napisem: "Sugar made in USA". I tak ten człowiek radziecki pod marynarką nosił napis USA. Gdyby nie ten worek płócienny czy lniany, który przyszedł z pomocą unrowską dla walczącej Rosji, nie mieli by ci ludzie nawet koszul.

Matka i szyła i sprzedawała i wróżyła. Wróżenie, to była bardzo ważna rzecz. Mama nie umiała wróżyć, ale się nauczyła, dośpiewała wszystko. Każda baba rosyjska miała męża gdzieś na froncie, od którego zazwyczaj nie przychodziła żadna wiadomość, bo albo był już dawno zabity, o czym ona nie wiedziała, albo był w niewoli, albo był ranny, albo był tak daleko na froncie, że nie mógł

nie przysłać. Każde słowo bujdy i dobre psychologiczne podejście, gdzie taka baba przy wróżeniu z kart sama wyśpiewała połowę swoją mimiką i zachowaniem, dawało matce to, że zawsze dostała dwa, trzy ziemniaczki za wróżenie. A czasem i jajko.

Wolniacy byli na tych terenach od dawna - zawsze. Mieszkali na wsiach w odległości 30 - 40 km od posiołka. W Uksorze wolniaków nie było. Na miejscu byli albo ci, którzy musieli tu mieszkać - Ukraińcy, niedobitki roku 1930. Oni mieli swój kołchoz, o którym już wspominałem - albo obsługa administracji z rodzinami.

Główny komendant posiołka nazywał się Bragin. Jak przyjechaliśmy on już był na miejscu - czekał na nas. Jeździł na koniu. Miał papachę z siwych karakułów podszytą błękitnym suknem z krzyżem czerwonym w poprzek. To była taka kozacka czapka. Oczywiście na przodzie miał czerwoną gwiazdę. Ubrany był w biały półkożuszek, pas, koalicyjkę. Na pasie nosił olbrzymiej wielkości nagan. Spodnie miał granatowe wcięte po kawaleryjsku. Na nogach walanki. Broń Boże, nie buty z cholewami, odmroziłby nogi w ciągu 15 minut! Walanki, są to zrobione z wołjoku obszerne, duże buty. Podeszwa nie istnieje, ewentualnie doszywa się na zewnątrz gumę. Jak on takie walanki nałożył na nogi, które są z pięć numerów większe niż jego noga, a do tego nogi owinał w onucki, dwie, trzy warstwy, a do tego jeszcze mu noga luźno latała, bo but nie był ciasny, to on mógł przetrzymać na mrozie długo. Natomiast biada temu, kto by się ubrał w nasze europejskie obuwie. Nóg by nie miał! Nogi trzeba było owijać w cokolwiek, aby było wiele warstw. Na wierzchu mógłby być nawet drut i guma z opon. Nasze obuwie szybko się zniszczyło, dlatego że nie wytrzymuje tak wielkich mrozów.

Komendant Bragin był typowym Rosjaninem, bardzo rzeczowy, bardzo ostry, bardzo zdecydowany i starający się bardzo o to by być kulturalnym, zawsze pachnący dobrą wodą kolońską. Niemalże

codziennie wchodził bez pukania do każdego pokoju w baraku i sprawdzał, czy jest porządek, czy czego nie ma na wierzchu, nie daj Boże jakiejś książki. Mieliśmy tam jedną książkę, która nazywała się "Ogniem i mieczem, tom III". Ludzie umieli ją na pamięć, ponieważ sobie wzajemnie pokazywali i na czym się dało przepisywali. Wprawdzie papieru nie było, ale czasami ktoś zdobył gazetę, to się pisało na gazecie, między wierszami. Pisało się melasą. Melasa był to gęsty wywar z buraków, który zastępował atrament. Obsadka była z drewna. Do niej był przywiązany kawałeczek blaszki z puszki po konserwach. To była stalówka.

Oświetlenie było łuczywowe. Nafty nie mieliśmy, o prądzie elektrycznym w ogóle mowy nie było. Łuczywo robiło się w ten sposób, że z polana sosnowego dużym nożem oddzierało się cienkie listewki pachnące żywicą. Listewki utykało się w szpary w ścianie nad stołem, pod nimi stało coś w rodzaju miednicy czy patelni, zapalało się łuczywo, które się stopniowo paliło i ten brzeg upalony się odłamywało. Czarno było w górze od sadzy, w oczy piekło, ale się coś widziało.

Oprócz komendanta innych strażników nie było. Komendant miał komendanturę, czyli okazały dom, do którego wchodziło się wysoko po schodach. Tam do niego nikt nie wchodził, ale ja widziałem jak tam był przywiązany jego koń.

Wyżywienie mieliśmy na miejscu. Na miejscu była stołówka i te zewnętrzne liście kapusty. Zupę przygotowywali i wydawali pajok nasi ludzie zakwalifikowani do lżejszej pracy, tacy którzy byli na zwolnieniu lekarskim. Na miejscu był też medpunkt. Kierownikiem "medpunktu" i jedynym jego pracownikiem /oprócz jednej sanitariuszki/ był pan Piereszewajłow. Był to człowiek bez wykształcenia lekarskiego, przyuczony felczer. Jak tamtejsi ludzie mówili, przed rewolucją handlował na Ukrainie jajkami. Za coś został wywieziony

i jako nieco znający się na takiej rzeczy jak zmierzenie temperatury, lub postawienie baniek, został kierownikiem punktu medycznego dla nas. W punkcie medycznym byłem kilka razy, jak miałem gorączkę. Chodziłem tam po pomoc. Był pokój lekarski, była poczekalnia, było jakieś zaplecze, gdzie była pielęgniarka i były dwie sale dla chorych. W każdej stały trzy łóżka. Tam, do tych łóżek oni kładli chorych, jeżeli już nie mogli chodzić, jeżeli mieli wysoką temperaturę. Leków, w naszym zrozumieniu, nie było. W medpunkcie, zdaje mi się, mieli tylko polepirynę i kwas salicylowy rozsypywany w kawałeczkach gazety, i rozkruszony na proszek palony węgiel drzewny. Jak ktoś miał niestrawność to dostawał łyżeczką węgiel. Mieli też termometr. Jak ktoś miał temperaturę 38°C, to nie musiał iść do pracy. Jak miał poniżej 38°C musiał pracować. Jak miał 39°C kładli go do szpitala.

Jak już powiedziałem, Bragin był komendantem, komendantem polityczno-nadzorczym. Poza tym był Pieresz^Wvajłow, niby felczer. Była jeszcze służba leśna nadzorująca, tak zwany lesopunkt - punkt leśny, należący prawdopodobnie do systemu lesopromchozow, czyli gospodarstw przemysłu leśnego. Przecież, żeby tartaki umieszczone nad dużymi rzekami mogły pracować i produkować tarcicę, to musiały mieć dostarczony surowiec. A surowiec uzyskać to trudna sprawa. Trzeba najpierw drzewa ścinać, potem przetransportować do rzeki i spławić do dużej rzeki, nad którą znajduje się tartak. Naczelnikiem lesopunktu był Waśka Sokołow. Wasilij Sokołow kierował dziesiętnikami, którzy mieli nadzór na miejscu, w lesie, tam gdzie się produkowało bale drewna. Wiem, że mój ojciec - inżynier leśnik z zawodu - ścinał piłą olbrzymie grube drzewa szerokości niekiedy takiej, że dwóch chłopów nie mogło objąć ich przy pniu, wieloletnie drzewa w dziewiczej północnej puszczy, w tajdze. Ojciec mój cherował na korzonki, bolał go kręgosłup. Przy bólu kręgo-

słupa nie ma gorączki, nie ma więc podstawy do zwolnienia. Przeto ojciec piłował, klęcząc na kolanach na położonym na śniegu, złożonym na czworo kocu, przyniesionym z domu. To była męka i gehenna ojca, człowieka nieprzywykłego do pracy fizycznej i do tego jeszcze nie nadającego się do tej pracy z powodu choroby.

Ludzie w Uksorze cierpieli na różne choroby. Częste były rozstroje żołądka. Wiadomo, jedli byle co, byle coś mieć w ustach. Chorowali na szkorbut. Cierpieli na awitaminozę C, która powoduje rozpulchnienie dziąseł i krwawienie, rozchwianie i wypadanie zębów. Zębów najzdrowszych, bez dziur, bez konieczności plombowania. Zresztą o czym tu mówić? Jakie plombowanie? Kto tam widział dentystę? Następnie występowała kurza ślepotą. Przychodził zmrok i ludzie przestawali widzieć. Cierpieli na awitaminozę A. Kiedy nie ma w organizmie witaminy A, plamka żółta w oku nie spełnia swojej roli, nie przekazuje obrazu do mózgu. Nie wspominam już o różnych urazach, jak na przykład spadanie ludziom belek na nogi, miażdżenie kończyn itd.

Właściwie pilnował zesłańców tylko jeden człowiek. Była to oszczędność etatów, a zresztą po co pilnować ludzi, którzy są pilnowani przez samą naturę. Przecież tam były, albo mrozy, śniegi, wilki i olbrzymie odległości od siedzib ludzkich, albo latem i wiosną - bezdenne bagna. Tak wszystko rozmarzało, że nie było połączenia ze światem. Tylko komendant miał połączenie telefoniczne z najbliższym miastem Szenkurskiem, oddalonym 60 km od Uksory. Po tych błotach oni jeździli nie przy pomocy pojazdów kołowych, a przy pomocy saní. Były to sanie o nieco innej konstrukcji niż sanie używane zimą. Jak by mi ktoś kiedyś powiedział, że jeździ na saniach latem, to bym mu odpowiedział, że jest idiotą! Czytałem kiedyś o kraju, który się nazywa Swanetia, a mieści się w samym środku Kaukazu, gdzie ludzie nie znali kół. Byli kompletnie

odizolowani od cywilizacji i dopiero w 1918 r. dotarła do nich jakaś ekspedycja, która ze zdumieniem stwierdziła, że ludzie ci nawet nie wpadli na pomysł, żeby lite koła wypilowały z okrągłych pni drzew, latem jeździli na płozach. Teraz stwierdzam, że może te płozy były lepszym rozwiązaniem niż koła, bo jeżeli nie ma kamiennych dróg, to jedynie na płozach można coś przewieźć. W Uksorze też tak było. Pojazdy letnie nazywały się "wołokuszy", czyli wleczydła. Koń był zaprzężony w dwa dyszle, które były przymocowane do czegoś, co było początkiem sań. Początek sań był połączony poprzeczną ławeczką. Na tej ławeczce było miejsce dla jednej albo dwóch osób. Na takim pojeździe jeździł komendant posiołka na odprawę do NKWD do Szenkurska.

O ucieczkach się nie myślało. Otaczająca nas puszcza stanowiła ogromną niebezpieczeństwo. Raz wyszedł pan Więcko - znałem tego poczciwego człowieka - załatwić się w bok od ścieżki, i zginął raz na zawsze. Szukano go psami, bo zaalarmowano, że Więcko uciekł, i nie znaleziono. Biednego Więckę znaleziono następnego roku w stanie rozpadu bardzo blisko tego miejsca skąd się oddalił. W puszczy wszystkie drzewa są do siebie podobne. Zabłądził, siadł pod drzewem, zamarł i już go nie było. Potem, jak pana Więckę znaleźli - nadźartego przez ptactwo - wykopano dół zaraz obok niego, aby go nie brać do rąk, bo się rozpadał, zepchnęli go łopatami do dołu. Pan Więcko zostawił żonę i kupę dzieci.

Z takich makabrycznych przypadków pamiętam jeszcze sprawę pana ^{Wilhelma} Anderle. Pan Anderle był urzędnikiem pocztowym w jednym z miasteczek województwa nowogródzkiego. Był tylko z żoną. Czy mieli dzieci, nie wiem, ale w Rosji mieli tylko kogoś z rodziny, chyba pana Ryszarda. Otóż pan Anderle, pewnego dnia, z głodu i wycieńczenia umarł. Mieszkał w naszym baraku i w naszym korytarzu. Włożyli pana Anderlega do skrzyni, zanieśli na cmentarz,

na którym leży wielu Ukraińców z roku 1930, 1931 i 1932, i go pochowali. Pod wieczór żona pana Anderle i Rysia poszli jeszcze raz na cmentarz. Siedli przy grobie, aby się pomodlić i wtedy usłyszeli w grobie łomot. Żona nieboszczyka poprosiła chłopaka o odkopanie grobu. Otworzyli trumnę i zobaczyli, że pan Anderle leżał na brzuchu z obgryzionymi do kości rękami. Jak się okazało został pochowany żywy człowiek. Było to możliwe z powodu takiego, a nie innego stanu służby zdrowia. Nie stwierdzono prawidłowo, czy jest zgon, czy nie. Człowiek zapadł w śpiączkę, może cukrzycową, a może wątrobową, a uznano go za zmarłego i żywcem zakopano.

W pracy kobiety i mężczyźni mieli równe zadania do wykonania. Jeżeli ktoś się kwalifikował do pracy fizycznej - a kwalifikacja była bardzo liberalna, to znaczy, że niemal każdy się kwalifikował - to mężczyźni i kobiety - na tych odcinkach robót w głębi lasu - porównie spiłowywali drzewo, formowali w bale, obciosawszy uprzednio z gałęzi, ściągali "lednikami" - drózkami lodowymi na brzeg rzeki i tak samo uczestniczyli w spławianiu. Oczywiście należało wykonać normę. Ja tych norm dokładnie nie pamiętam, ale wiem, że one sprowadzały się do kubików, czyli metrów sześciennych zwalonego i pociętego drzewa. Kto nie wykonał normy, ten nie otrzymywał właściwej porcji żywieniowej chleba i zupy, tylko racje zmniejszone. I w ten sposób krąg się zamykał, ponieważ ktoś, kto już całkiem nie dojadał był jeszcze słabszy i jeszcze trudniej było mu wyrobić normę. Nadzór nad normami mieli dziesiątnicy, którzy mierzyli urobek dzienny, obliczali kubiki z przekroju drewna i jego długości i przeliczali na osobę. System pracy był brygadowy. Na czele stał brygadzysta, a jeszcze nad brygadzystą stał dziesiątnik. Żeby wyrobić normę brygadzysta musiał ludzi zmuszać do wysiłku. Dziesiątnicy odpowiadali przed Sokołowem, a Sokołow - naczelnik lesopunktu, odpowiadał przed Braginem, u którego sprawa nabierała od razu tres-

ci politycznej. Oczywiście brygadzysta oszukiwał dziesiętnika, a dziesiętnik oszukiwał Sokołowa. Nie jestem pierwszy, który o tym mówię, można to wyczytać w "Opowiadaniach Kołymskich" Warłama Szarłdymowa, czy w "Archipelagu Gułag" Aleksandra Sołżenicyna. Była to tak zwana "pripiska" czyli dopisywanie. Dopisywanie istniało dookoła w całej Rosji. Jeden drugiemu dopisywał, żeby się wyróżnić, żeby pokazać jak dużo zrobił. I w lesopunktach liczyli nie raz to samo drewno po trzy, cztery razy. Dziesiętnicy dobrze wiedzieli, że normy były tak wyciągnięte w górę, że nikt nie był w stanie ich wykonać. Przeto, żeby się cały ten interes jakoś kręcił, trzeba było ludzi utrzymać przy życiu, bo wtedy było uzasadnione istnienie tego systemu brygadzystów, dziesiętników i tego całego lesopunktu z Sokołowem i Braginem na czele. Przecież ci ludzie, jak na ich warunki, mieli lukratywne posady. Mieli na pewno prawo zakupu czegoś tam, prawo jazdy dokądś tam itd. Tylko myśmy byli zamknięci.

Wracam do żywienia. Starzy Ukraińcy, którzy w Uksorze dłużej mieszkali mawiali: "Wy pamiętajcie o zimie. Dzisiaj to zjecie byle co spod płotu, każdą zieleniznę, ale w zimie nic nie będzie." Przeto zbieraliśmy szczaw, lebiodę, pokrzywę i suszyliśmy. Zbieraliśmy wszelkiego rodzaju runo leśne w postaci czarnych jagód, borówek, zdarzały się poziomki, maliny, były grzyby - zwłaszcza czerwone kozaki. Ale tego wszystkiego było za mało. Dowiedzieliśmy się od Rosjan, że można jeść grzyby, które u nas są uważane za trujące, o ile się je odpowiednio przyrządzi, na przykład: 10 razy odgotuje i 10 razy odleje wodę. Nie trzeba być fachowcem, żeby wiedzieć, że w takim grzybie nie było już nic oprócz błonnika. Wszystko zostało wygotowane i wylane, nawet biało, z którego grzyb jest zbudowany. Tak przyrządzony pokarm był tylko bezwartościowym zapychaczem żołądka. Na północy, miejscowi Rosjanie zbierali wełnianki, przypominające nieco swoim kształtem olszówkę, która u nas jest niejadal-

na. Wełnianka - wołnuszka kończy brzegi swego kapelusza włoskami, taką wełenką, stąd jej nazwa. Te grzyby się odgotowuje i kisi. Zalewa wodą, one fermentują i w beczkach się je zamraża. Potem zimą odrąbuje po kawałku. Żurawiny też się zamraża w beczkach. Takie otóż rzeczy jedliśmy i one pomagały ludziom ratować się, ponieważ zawierały poza wszystkim innym, witaminy. Uzupełnieniem naszego jedzenia były też czasami ryby i ptaki. Niekiedy udało się złapać chariussy - ryby podobne do pstrągów. Łapaliśmy je na haczyki zrobione ze szpilek, na które zakładaliśmy żywe muchy. Żywa mucha pływała po wierzchu wody, chariussy rzucały się na muchę i połykały razem z haczykiem. Łapaliśmy także gile ^{kłosty -} ptaszki z czerwonym brzuszkiem, z dziobem zakończonym krzyżykiem, ~~klóstem~~. Tym ~~klóstem~~ łuskały sobie szyszki świerku. Przylatywały one z dalekiej północy na bliższą północ, czyli do nas. Przylatywały z tundry, gdzie już nic do jedzenia nie było, do tajgi, gdzie były szyszki z nasionami. Szelest łuskanych szyszek i leżące na śniegu resztki szyszek wskazywały, gdzie gile siedzą. Żeby któregoś złapać trzeba było wyrwać z końskiego ogona pęczek włosów. Z włosia skręcić pętelki. Do dziś umiem to robić. Pętelki zakotwiczało się na desce. W desce wybijało się dziurę gwoździem, wkładało się koniec pętelki i zaklinowywało patyczkiem grubości zapałki. Deska miała kilkanaście takich pętelek. Podchodziło się pod drzewo, gdzie kłost, czyli gil siedział i stawiało się deszczułkę pod drzewem. Trzeba było jeszcze śnieg dookoła deszczułki obsiusiać. Śnieg od moczu barwił się na żółte, pomarańczowo. Gil to obserwował, ciekawiło go to, złatywał na dół, dziobał żółty śnieg i czasami nóżka mu się wbiła w którąś pętelkę. Pętelki były przysypane śniegiem. Mały gilek wielkości naszego wróbla, jak był oskubany i opatroszony to prawie nic na nim nie było, a jednak, jak się go wrzuciło do garnka z wodą, to był rosołek dla pięciu osób. Jeszcze dodało się szczawiku, pokrzywy, jakiś

ziemniaczek, który matka wywróżyła i była świetna zupa. Tak to się żyło! Jedliśmy gile, czasem rybki, dary przyrody, o których mówiłem, a także porosty reniferowe, które rosły od północnej strony na brzozech. Porosty te obgryzały renifery, ludzie to podpatrzyli i je zrywali, ^{metli} ~~metli~~ między dwoma kamieniami uzyskując coś w rodzaju mąki. To rozbełtywali z wodą i spożywali taką zawiesinę.

W lipcu 1941 r. ogłoszono amnestię. Z 320 osób przywiezionych w 1940 r. razem z nami do Uksory, w 1941 r. ^{było} ~~wyjechało~~ 111 osób. Kiedy Niemcy napadli na Rosję, ta chciała uzyskać pomoc z Zachodu. Wtedy naturalnymi sojusznikami Rosji stali się Anglia i Francja. O Ameryce nie mówię, bo wtedy jeszcze do wojny nie przystąpiła, przeto złagodzono nam kurs i ogłoszono amnestię. Wtedy mój ojciec się strasznie naraził ponieważ w klubie, gdzie zwołano na zebranie Polaków, żeby im ogłosić, że podlegają amnestii, ojciec wystąpił i powiedział: "Bardzo przepraszam, ale jaka może być amnestia w stosunku do ludzi, którzy niczego złego nie zrobili, niczym nie przewinili i nigdy nie byli za nic osądzeni. Amnestia to jest darowanie komuś winy, kto na nią zasłużył." Oczywiście ojcu tego nie darowali, ale to się okazało później.

Obowiązek pracy mieli wszyscy dorośli, od 16 roku życia. Młodszy, do 14 lat musieli uczęszczać do szkoły. Obojętnie ile uczeń miał lat to tylko mógł uczęszczać do czterech klas, ponieważ była to szkoła czteroklasowa. Jak klasę kończył, to mógł ją zaczynać od nowa, aby być w szkole. Poszedłem do klasy III, mimo, że już w Żdzięciole chodziłem do klasy IV, ale po pierwsze nie znałem języka, a po drugie co bym robił? Szkoła mieściła się w budynku drewnianym składającym się z dwóch pomieszczeń - klas. W jednym pokoju uczyły się razem, siedząc równolegle w dwóch rzędach, dzieci z klasy I i III. Uczyła je nauczycielka, która się nazywała Morszniowa Kławdzija Borysowna. W drugiej salce uczyła drugą i

czwartą klasę nauczycielka o nazwisku Wtorygina. Ona była równocześnie dyrektorką szkoły. Były to tak zwane wolne Rosjanki, które prawdopodobnie z nakazu pracy, służbowo przysłano do Uksory, do uczenia tamtejszych dzieci, a więc dzieci urzędników i Ukraińców-niedobitków i Polaków. Wszystkie dzieci uczyły się razem, gdyż uważano, że tylko w ten sposób dzieci mogą być łatwiej zaaklimatyzowane społecznie i łatwiej zindoktrynowane. Ich dzieci należały wszystkie do pionierów, nie do komsomołców, bo do Komsomołu należy się po ukończeniu szkoły podstawowej, a w Uksorze było nauczanie początkowe, pierwsze cztery klasy. W szkole uczono języka rosyjskiego i rosyjskiej literatury, /Oni rozróżniają dwa przedmioty: literatura jest literaturą, a język to jest językoznawstwo, gramatyka./ matematyki, przyrody, geografii, historii, muzyki i gimnastyki. Wszystkie przedmioty były prowadzone w języku rosyjskim. Specjalnych lekcji politycznych nie było. Te wiadomości były przekazywane na geografii i historii. Uczono nas, że największy jest naród rosyjski, że ma największych pisarzy, odkrywców, twórców, jest największym mocarstwem świata, posiada najwyższy szczyt czegoś tam i najgłębszą głębię, a także największe wykopaliska. Stosunki między poszczególnymi grupami społeczności uczniowskiej układały się normalnie. Prześmiewki z naszego akcentu były typowo dziecięce, nie miały podłoża w nastawieniu, że jesteśmy wrogami. Oni się z nami nawili, wymieniali z nami różne guziki i inne dziecięce skarby, ale śmiali się z takich najzwyczajniejszych ludzkich rzeczy. Jak tłukli, to równo, swojego i naszego. Różne były bijatyki. Jak się bily dzieci rosyjskie, to nie patrzyli, czy był to syn enkawudyisty, czy nie, nie bali się. Pamiętam, jak później chodziłem do szkoły w Szynkursku, do piątej klasy, to był tam taki chłopak, który nazywał się Biesonow. Jego ojciec był kierownikiem Urzędu Stanu Cywilnego w NKWD. Wszystkie sprawy cywilne, paszporto-

wo-dowodowe, metrykalne były w rękach NKWD. Tam człowieka kontrolowano od urodzin do śmierci. Ten Bieś^Sonow był lany bezlitośnie przez innych. Wiedziałem, kim on jest. Ja go nie biłem, bo za co? Ale chłopaki się popro^Pstu nad nim znęcały. Było to wprost zezwierzęczenie. To był drastyczny przypadek, który pamiętam. W szkole obowiązywała praca społeczna^{jak}, na przykład: sprzątanie koło szkoły, sadzenie drzewek, robienie dekoracji płotów na 1 Maja czy rocznicę rewolucji październikowej. Nauczycielki były sympatyczne, nie przejawiały żadnej wrogości do Polaków, może miały nakazane, aby sprzyjać adaptacji, ale niesamowita była nauka w jednym pomieszczeniu dwóch klas. Taka nauczycielka musiała się dobrze gimnastykować. Jak jedni mieli zajęcia przy mapie, lub przy tablicy, to drudzy mieli ciche czytanie itd.

Doszedłem w swojej relacji do roku 1941, do chwili ogłoszenia amnestii i do wystąpienia mego ojca na zebraniu w klubie. Mój ojciec był człowiekiem odważnym, a poza tym był jedynym /myślę, że się nie mylę/ w naszym polskim środowisku, człowiekiem z wyższym wykształceniem. Wtedy powiedziano nam, że jesteśmy wolni i że będzie się tworzyło wojsko, Armia Polska w ZSRR - miano na myśli ~~z~~ Armii gen. Andersa - że w odpowiednim czasie ludzie, którzy nadają się do służby wojskowej zostaną o tym powiadomieni. Od tej chwili, każdy na własną rękę, zaczął wyszukiwać możliwości wyrwania się z Uksory do wiosek, gdzie żyli tak zwani wolni ludzie. Ojciec załatwił u kierowniczk^Ki kołchozu im. Dzierżyńskiego we wsi Borog opuszczoną chałupę. Kierowniczka chętnie nas przyjęła, bo nie miała ludzi do pracy. W tym kołchozie nie było ani jednego mężczyzny. Wszyscy, od 18 roku życia do 60 roku, byli w wojsku i wszyscy ginęli, bo Stalin nie żałował żołnierzy. ~~Tam, gdzie Ame-~~
~~rakanin by stracił dwóch ludzi, to on tracił 1000.~~ Prosto, ma być zdobyte jakieś miasto na rocznicę rewolucji październikowej i koniec

~~Cena się nie liczy. Nie będzie zdobyte, to jakiś marszałek dostanie w łeb. Np. Kijów to była hełakomba ofiar. Jedni topili się, drudzy szli po trupach swoich towarzyszy, byle zdobyć Kijów na 7 października, na rocznicę rewolucji, bo tak się zobowiązali dowódcy I, II i III Frontu Ukraińskiego, między innymi: Koniew, Leluszenko, Watutin. Watutin też to przepłacił życiem, bo go zastrzelił z wieży cerkwi nacjonalista ukraiński - niepedagogstwo-wiec.~~

Ojciec przyjechał po nas do Uksory wozem z koniem. Była jesień. Przed wielkimi mrozami wyjechaliśmy do Borku. Ojciec i matka pracowali w kołchozie. Ojciec usiłował się przedostać do Armii Andersa, na południe. Już nawet pojechaliśmy z Borku do Rowdina, to jest między Szynkurskiem leżącym nad rzeką Wagą, a Wielkiem, gdzie w czasie transportu do Uksory mieszkaliśmy w szkole. Z Rowdina kazało nam się NKWD natychmiast cofnąć z powrotem. Zatrzymaliśmy się w Borku - Borku u ludzi o nazwisku brzmiącym z polską: Wędziemscy. Byli to życzliwi ludzie, u nich kątem mieszkaliśmy. Mieli dla nas wielkie serce, ponieważ w tym czasie udało się ich córce Tamarze ewakuować z Leningradu. Przywieziono ją na saniach. Wyglądała jak szkielet człowieka. Wędziemscy chcieli ją zaraz nakarmić tym co mieli. Moja matka powiedziała: "Ludzie uważajcie, skrętu kiszek dostanie, umrze i nie będziecie mieli córki. Trzeba ją karmić ostrożnie, po łyżeczce rosołku, za pięć godzin dać jej pół jajeczka itd". /Oni mieli własną kurkę/ W ten sposób ich córka Tamara, studentka z Leningradu, została uratowana. Wielu ludzi, którzy z nią byli ewakuowani umarło, bo przedobrzono z jedzeniem.

W Borku byliśmy do roku 1942. Potem, z powrotem cofnięto nas do Uksory. Była straszna rozpacz, ponieważ Uksora, to było miejsce całkowicie odcięte od świata, a nam się kojarzyła z najgorszym okresem, kiedy to nas tam wywieziono. Bork^{ik}, to już był kołchoz ludzi wolnych, kilkadziesiąt kilometrów bliżej. Znaleźliśmy się

zatem znowu w Uksorze, ale tym razem jako ludzie wolni. Ojciec dostał nominację z Ambasady Polskiej na pełnomocnika dla spraw ludności polskiej na dwa rejony. Ambasady zostały wycofane z Moskwy do Kujbyszewa. Delegatura ambasady była w Archangielsku. Właśnie z Archangielska przyszła nominacja. Ojca wyszukali, bo był człowiekiem z wyższym wykształceniem i znał język rosyjski. W związku ze swoją funkcją nieraz ojciec musiał wychodzić z naszego posiołku i piechotą iść 60 km do Szynkurska, aby kontaktować się z władzami odnośnie spraw ludności polskiej, np. darów UNRRA które przychodziły z Ameryki. Był listopad roku 1942. Ojciec poszedł i nie wrócił. Doszły do nas słuchy, że z ulicy aresztowali go enkawudysty i jest w Szynkursku w więzieniu. Przyjechał komendant posiołka z milicjantem i zrobili w naszych rzeczach niesamowitą rewizję. Wywracali wszystko w kuferku. Pamiętam, że znaleźli cienki, czysty zeszyt, który przelistorowali od początku do końca i od końca do początku. Nagle popatrzyli pod światło i zobaczyli - ku swojemu zdumieniu - rzecz, która im się nie mieściła w głowie: znak wodny z napisem "Urania-Brześć". I to zapisali, jako dowód rzeczowy szpiegowskiej działalności ojca. Zdaję się, że jeszcze zabrali różaniec i książeczkę do modlitwy. To były wszystkie materiały przestępcze mojej rodziny. Matce nie pozwolono na widzenie się z ojcem. Podobno potem, etapami piechotą był pędzony przez konnego, z jeszcze jednym Ukraińcem, którego nazywano "Kreścik", bo na czapce miał wyszyty krzyżyk i nie wypierał się tego, że jest wierzący, do stacji kolejowej w *Siniedze*. Później pan Młodzie^{ca} Nowski mówił, że widział ojca w więzieniu w Archangielsku. Po jakimś czasie jego puścili, a ojca nie. Ojciec nasz już nigdy do nas nie wrócił. Jak się dwa lata później dowiedzieliśmy, zmarł 28 lipca 1943 r. w więzieniu w Kotłasie. Zaraz po aresztowaniu ojca matka pisała do Delegatury Polskiej Ambasady w Archangielsku, żeby oni

interweniowali, żeby go wypuszczono, ale nic z tego nie wyszło.

Przyszedł rok 1943. Wiosną mama poszła do kołchozu, gdzie poprzednio mieszkaliśmy i poprosiła przewodniczącą, żeby nas znowu przyjęła do pracy i żebyśmy tam mogli zamieszkać. Zgodziła się. Mama dostała od niej konia i ruszyliśmy w dramatyczną podróż po roztopiających się, już prawie płynących rzekach, z naszymi rzeczami i z moim młodszym bratem. Pod wodą był jeszcze lód. Mądry konik wiedział, jak wyszukiwać miejsca w rzece, żeby się nie utopić i nas nie potopić. Szczęśliwie dotarliśmy do kołchozu. Tam, matka i ja, /brat był jeszcze za mały/ pracowaliśmy, aż do czerwca 1944 r. to jest do czasu, kiedy Związek Patriotów Polskich w ZSRR załatwił możliwość przeniesienia Polaków z północnych terenów na południe, do obszarów lepszych klimatycznie. O Związku Patriotów Polskich w ZSRR różnie można mówić, można go krytykować za jego ideologię, ale trzeba docenić to, co zrobił dla Polaków, którzy się tam na północy utrzymali. Rząd Londyński musiał odejść z pola bitwy, bo wybuchła sprawa katyńska. Musiał żądać wyjaśnienia, dlaczego na punkty mobilizacyjne nie przybyli oficerowie, o których było wiadomo, że znajdowali się w Rosji. Rząd rosyjski nie miał innego wyjścia, tylko zerwał ze Rządem Londyńskim twierdząc, że prowadzi - ręką w rękę z Hitlerem - propagandę anty-radziecką. Że nie przyjmuje do wiadomości faktu zamordowania przez Niemców, w lipcu czy sierpniu 1941r. w Katyniu, polskich oficerów. Wtedy stosunki zostały zamrożone, nam potwornie przykręcono śrubę. Matka z nami utrzymała się w kołchozie. Dawała przewodniczącej różne podarunki, co umiała to jej uszyła, wywróżyła coś dobrego, pocieszyła ją, że mąż z wojny wróci itd. W kołchozie mieszkaliśmy w opuszczonym mieszkaniu po ludziach, którzy już pomarli. Mieliśmy statut ludzi wolnych, którzy nie mają gdzie się podziać i tam siedzą. Nie byliśmy już w Uksorze, w posesiołku karnym, ale nie byliśmy ludźmi w pełni wolnymi, nie mieliśmy

prawa do przemieszczania się. Jedyne prawo do przemieszczania się było w 1941 r. zaraz po amnestii. Ojciec próbował z tego prawa skorzystać, ale nikt z naszego środowiska nie przedarł się do Armii Andersa. Dopiero niektórzy się przedarli do tej drugiej armii, do Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Było kilka osób, które się dostały, ale ich los był bardzo ciężki. Na przykład taki Białorusin, obywatel polski, Siergiusz Maciuk, człowiek prawosławny, wrócił po bitwie pod Lenino, z powrotem z przestrzelonymi nogami, jako kaleka. Opowiadano, że do Armii Andersa dostała się jedna dziewczyna, ale umarła na tyfus, bo w Uzbekistanie Polacy masowo umierali na tę chorobę. Rosjanie stworzyli Armii Andersa okropne warunki bytowania. Ludzie mieszkali na stepie w mrozie w ziemiankach, panował straszny głód, wszawica i tyfus. To, że Anders przez Krasnowodzk, przez Morze Kaspijskie, wyprowadził ludzi do Iranu, że udało mu się z ludźmi wyrwać stamtąd, to cud!

W kołchozie czuliśmy się dobrze. Tam już można było i coś zjeść i coś ukraść /co tam ukrywać/. Jak się pracowało przy omłocie zboża, to się nabrało do kieszeni ziarna i na żarnach u sąsiadów ^{1/2} męło na mąkę. Było trochę kartofelków. Uprawialiśmy działeczkę przy domu, parę grządek. Była więc pietruszka, jakiś ziemniaczek, zawsze coś wyrosło. I tak było do czerwca roku 1944.

W czerwcu Związek Patriotów Polskich ogłosił umowę z Rosją, że Polacy zostaną przewiezieni z północnych obszarów na południe. Załadowali nas na barkę w Szenkursku. Przez Szenkursk przepływa rzeka Waga, która dla Rosjanina jest rzeczulką, ale ja śmiem twierdzić, że jest to rzeka potężna, że nie jest mniejsza od Wisły - może nawet dłuższa. Zaczyna się na południu, gdzieś za Wielkiem, koło Wołody, płynie na północny wschód i wpada powyżej Szenkurska do Dżwiny. Wszystkich Polaków, którzy przetrwali, z różnych kołchozów i posiołków załadowali do barki, /Może było więcej barek/

i doczepili do parowca o nazwie "Czaadajew"/nazwisko jednego z przyjaciół Puszkina/, który przyciągnął nas do Dźwiny. Tam naszą barkę przyczepili do większego statku, który nazywał się "Sud^oro-boczyj", to znaczy "Robotnik okrętowy". W ten sposób dopłynęliśmy do Archangielska, wielkiego portu na północy Rosji, nad Białym Morzem. Pierwszy raz zobaczyłem wielkie miasto rosyjskie i wielki głód tam panujący. Widziałem handlowanie na rynku kawałeczkiem masła, który był wielkości połowy pudełka zapalek. Człowiek to masło trzymał w papierku na dłoni i palec drugiej ręki miał nad nim zagięte, aby nikt nie mógł chwycić masła i wsadzić sobie do buzi. Handel był wymienny. Wymieniano wszystko za wszystko. Tytoń, zapalki wymieniano za jedzenie, za kawałek suszonej kiełbasy. W barkach do Archangielska płynęli sami Polacy. To była bardzo długa droga. W Szynkursku otrzymaliśmy na drogę suchy prowiant. Odczuwaliśmy, że nastąpiło porozumienie Związku Partiotów Polskich z rosyjskimi władzami, że szło już w kierunku odwilży, poprawienia ogólnego wrażenia. Stalinowi chodziło o rzecz dalekosiężną, o to żeby Polska była radziecka. A losy Polaków toczyły się bardzo dziwnie, zależały od przypadku. Może Jaruzelski, gdyby zdążył na punkt zborny w 1941 r., jak była mobilizacja, to byłby dzisiaj generałem andersowskim w Londynie... Bracia, jedni trafiali do Armii Andersa, a drudzy do Dywizji Kościuszkowskiej i byli potem generałami. Tak już jest, że jak kogoś nie zabiją na froncie, to awansuje. Kiedyś spotkałem panią Halinę Jacewicz. Mówię do niej: "Pani jest żoną generała Jacewicza." Ona odpowiada: "Niestety wdową." Jacewicz był tak zwanym czerwonym generałem, dowódcą wojsk lotniczych, a żona jest teraz wiceprezesem Zarządu Wojewódzkiego Związku Sybiraków, bo pochodzi spod Grodna, jest córką przedwojennego oficera, była wywieziona na Syberię. To są parodie losu! Gdzież by ona pisnęła w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych o tym,

że ona jest sybiraczką, córką przedwojennego oficera. Toż ten Jacewicz stracił by posadę! To są właśnie polskie losy. Jak dziś ktoś segreguje ludzi, to jemu mówię, że ludzi nie można szufladkować. Czy ktoś jest czerwony, czy jakiś inny, to o tym zdecydował przypadek losu, że on się znalazł właśnie tu, a nie tam.

W Archangielsku, na początku czerwca, przeładowano nas z barek do wagonów towarowych, już niezadrutowanych. Jechaliśmy tak zwaną "magistralą życia" Archangielsk - Moskwa. Dalej przez Sierpuchow, Tułę, Orzeł, Kursk, Połtawę, Kremienczuk do Znamionki. Jechaliśmy bardzo długo, ponieważ przepuszczaliśmy wszystkie inne pociągi pasażerskie, wojskowe i towarowe z surowcami strategicznymi. W Znamionce rozczepili wagony. Nasz wagon doczepili do pociągu, którym dojechaliśmy na stację Szarowka. Byliśmy na Ukrainie. Był czerwiec 1944r. Szarowka to sowchoz nastawiony na produkcję buraków cukrowych. Tam znowu brakowało ludzi do pracy. Front przez Szarowkę przeszedł dwa razy. Pierwszy raz w 1941 r., a drugi raz w początkach roku 1944. Kijów został zdobyty w listopadzie 1943 r. a w 1944 r. front się przesunął dalej. Kiedy przyjechaliśmy do sowchozu front znajdował się w okolicach Tarnopola, Lwowa. Lwów był zajęty przez Rosjan w czerwcu 1944 r. Myśmy wtedy byli już w Szarowce. Mieszkaliśmy w pomieszczeniach dawnych pracowników sowchozu. Pomieszczenia dotąd stały puste. Nam tak wypadło, że mieszkaliśmy w mieszkaniu, które zajmowała Garbar - sekretarz partii w sowchozie. Mieszkaliśmy u niej. Ona z dwiema córkami zajmowała mały pokój, a my mieszkaliśmy w kuchni. Jej cały dzień nie było w domu, bo prowadziła gdzieś swoją pracę partyjną. Dyrektorem był pułkownik ranny, zwolniony z wojska. Nie nadawał się na front, to go dali na dyrektora. Nazywał się Afanasjew. Matka pracowała w sowchozie przy pracach polowych, przy żniwach, a ja pracowałem na żniwiarce. Jechałem na jednej z trzech połączo-

nych razem maszyn, które ciągnął traktor. Żniwiarki zostały po Niemcach. Niemcy Ukrainę uważali za kopalnię pszenicy. Jak zajęli te tereny, to je zaraz zagospodarowywali. Kiedy uciekli, to maszyny zostawili. Żniwiarki były firmy ^{hin}Deriug. Na ostatniej żniwiarce ja jechałem, na środkowej jechał Włukowski, a na przedniej jechał Sypień. Ten z przodu miał najgorzej, bo mu śmierdziały spaliny z traktora i leciał na niego cały kurz spod kół. Czasami się wymienialiśmy. W tym sowchozie pracowały już jakieś kombajny, które wszystko zbierały. Na polach stało mnóstwo spalonych i rozbitych czołgów, walała się amunicja, pełno było min. Ciężkim sprzętem ściągano czołgi "Tygrysy", "Pantery" i te swoje "T-34", "JS" - te "Staliny" - samobieżne działa na pobocza. Pola były olbrzymie, łany bezkresne, ale strasznie zachwaszczone. Wydajność z hektara była niska. Właściwie młóciło się chwasty. Poza tym ludzie strasznie kradli, np. słoneczniki, które młócili i jedli ziarna. Ale tu już coś było, co można było ukraść! Za naszą pracę otrzymywaliśmy wynagrodzenie. Tak było do roku 1946. W lutym ogłoszono, że jest repatriacja do Polski. Z Zarządu Wojewódzkiego Związku Patriotów Polskich w Kirowogradzie przywieźli nam karty repatriacyjne. /Naszą kartę mam do dzisiaj./ Znowż załadowano nas do wagonów towarowych. Wszystkie wagony, z wszystkich sowchozów, z Polakami z dalekiej północy potem przebywającymi na Ukrainie, spotkały się w Znamience. Tam zrobiono różne zestawy pociągów. Matce, jako nauczycielce z zawodu, osobie wykształconej, polecono kierowanie grupą Polaków jadących z Szarowki. Mam oryginalny, unikalny dokument, pisany moją ręką, na prośbę mojej mamy, która nie znała tak dobrze języka rosyjskiego jak ja. Jest to lista Polaków zamieszkałych w sowchozie Szarowka, powiat Nowa Praga, obwód kirogradzki. Znajdują się na niej następujące dane: nr porządkowy rodziny, nr porządkowy osób, nazwisko i imię, imię ojca,

rok urodzenia, gdzie urodzony, nr paszportu i narodowość.

Rodzin było 21, osób 76. Oto nazwiska tych rodzin:

Wnukowski Stefan, Jaworska Stanisława, Młodzianowski Jan, Sypień Wincenty, Sinkiewicz Luga^d, Palczewska Anna, Kucharska Jadwiga - córka Antoniego, dziadka, Kucharski Sławój - syn Antoniego, Kucharski Konrad - syn Antoniego. /nasz ojciec też był Antoni/ Anderle Helena i Ryszard - ci co słyszeli stuk z grobu, Więcka Maria - wdowa po p. Więcku co zamarzył w lesie, z dziećmi Leokadią ur. w 1932 r., Wacławem ur. w 1935 r., Józefem ur. w 1937 r. Wieliczko Maria, Zwardoń Janina i jej córka Teresa ur. w 1944 r. Mazur Nadzieja, Zygmuntowicz Olga - ostatnio odnalazła nmnie jej córka Janina, Szkoda Konstanty - Białorusin, Okrasa Antonina - Polka z Mazur, Feluś Stefan, Kwiciński Józef, Styrnik Zofia - Białorusinka, Krasocka Olga, Kowerko Antonina. Jest to dokument autentyczny, napisany w roku 1945 /?/, ma lat 47. A tu, wydana na podstawie tej listy karta repatriacyjna. Kserokopię zaświadczenia repatriacyjnego daję panu na pamiątkę.

Ze stacji Znamienka pociąg ruszył w połowie lutego. Jechaliśmy przez bardzo zniszczone części Ukrainy prawobrzeżnej. Ukraina dzieli się na lewobrzeżną i prawobrzeżną. Każdy wie, o co chodzi. Wszystko, co na wschód od Dniepru, to jest Ukraina lewobrzeżna, wszystko, co na zachód od Dniepru - prawobrzeżna. Jechaliśmy przez Żmerynkę, Tarnopol. Warunki podróży mieliśmy lepsze, dlatego, że była pomoc z UNRRy. Z przodu pociągu był wagon sanitarny, gdzie był pełnomocnik Związku Patriotów Polskich. Na stacjach przydzielano nam chleb. Było to dobrze zorganizowane. Przyjechaliśmy do Mościsk 5 marca 1946 r. 6 marca byliśmy już w Przemyślu, Całowaliśmy peron - tak, jak Papież teraz całuje ziemię - myśmy też całowali, płacząc z radości, że jesteśmy w Polsce, chociaż serca nam krwawiły, bo przejeżdżaliśmy przez tereny polskie - przez

Sądową Wisznię - miasteczko rodzinne mojej matki - a ono już nie było nasze polskie. Jakież to było przykre! Tym niemniej teraz była Polska, tu w Przemyślu. Kiedy tak się cieszyliśmy podszedł do nas kolejarz i spytał, czy mamy ruble do sprzedania. "Jakie ruble? Po co panu ruble?" pytaliśmy zdziwieni, a on mówił: "Nie wiecie, że tu Ruskie rządzą!" Wielkie było nasze zaskoczenie, myśmy przyjechali do Polski, a tu już inna Polska! Za jakiś czas patrzemy, po peronie chodzą krasnoarmiejcy. "O Boże, trzeba uważać, bo się można znowu znaleźć z powrotem tam, skąd przyjechaliśmy!" Tak to było.

Z Przemyśla przewieziono nas do stacji Mikulczyce koło Zabrzag-Gliwic. Całą drogę odbyliśmy tym samym pociągiem. Nie trzeba było przesiadać, bo na całej linii były szerokie tory. To nas wprowadziło w zdumienie. "Jak to jest, w Polsce były zawsze wąskie tory, a tu szerokie?" Otóż ta jedna jedyna linia Związek Radziecki-Śląsk była szerokotorowa dlatego żeby sprawnie wywozić żelazo i stal z hut śląskich oraz węgiel z śląskich kopalń, do Rosji. Transporty szły co 10 minut. Byliśmy zdumieni organizacją. W jedną stronę jechali Polacy repatrianci i puste wagony, ewentualnie pociągi z rudą z Krzywego Rogu, do przetapiania w Polsce. Straszna to była ruda, pół na pół z ziemią, zmarznięta, tak, że nie można było jej rozładować. Co dziesięć minut - z dokładnością co do sekundy - jechał na wschód pociąg pełen żelaza, szyn, albo tego wszystkiego, co oni w Polsce szabrowali. Wywozili tramwaje, obrabiarki - wszystko!

W Mikulczycach powiedziano nam, że to jest stacja końcowa, że stąd będą poszczególni ludzie rozwożeni do różnych miejscowości na Ziemiach Odzyskanych. Nam powiedziano, że pojedziemy do powiatu Wołów. Wołów jest na Dolnym Śląsku koło Kluczborka, Tarnowskich Gór. Wtedy matka powiedziała: "O nie, żadne Ziemie Odzyskane, będziecie się uczyć, jesteście spóźnieni!" Już jako prywatni lu-

dzie wsiedliśmy do pociągu osobowego i pojechaliśmy do Radomia. Był to taki pociąg, jakie chodziły zaraz po wojnie. Ludzie jechali na dachach i na schodach. W Radomiu mieszkał jeden z braci mojego ojca - Stanisław, mgr chemii, pracował w Centrali Skór Surowych - dobrze mu się wiodło. Ze stacji, nie mówiąc nic, poszliśmy do niego. Zastaliśmy całą rodzinę w domu. Na dzwonek otworzyły się drzwi, stanąłem w progu i zobaczyłem parkiet. Myślałem, że to jest lustro. Chodziłem przez tyle lat mego dzieciństwa po różnych klepiskach robionych z gliny, parkietu jeszcze nie widziałem. Weszliśmy do środka, na stole leżał bochenek chleba, masło, nóż. Ja mówię: "A co to? Chleb! Dzisiaj dostaliście?" "No, kupiliśmy." Rozmawialiśmy zupełnie innymi językami. Jak się dowiedziałem, że mogę sobie chleb kroić i jeść do woli, to po prostu nie wiedziałem z radości, co się dzieje. To było 12 marca 1946 r. 19 marca poszedłem do szkoły, do Gimnazjum i Liceum im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Miałem potworne braki. Wujek znał dyrektora Stanisława Ciacha - to był jego kolega z młodości - i załatwił, że Sybiraka przyjęli do trzeciej klasy gimnazjalnej. Ale, co z tego, jak Sybirak nigdy nie słyszał łacińskiego słowa. Moi koledzy uczyli się już trzeci rok łaciny. Wujek miał pieniądze, załatwił mi korepetycje u pani Banderówny. Codziennie popołudniu chodziłem dodatkowo na łacinę, aby nadrobić zaległości. I tak moi koledzy mieli łacinę, a ja tylko słuchałem, nie wiedziałem, o co chodzi - ale na lekcjach siedziałem. Do klasy czwartej przeszedłem warunkowo, że zdam łacinę. Po wakacjach łacinę zdałem. W roku 1947 ukończyłem czwartą klasę gimnazjalną. W tym czasie mama nie siedziała w Radomiu tylko pojechała szukać pracy, znalazła swoją siostrę Anielę Borecką i jej męża Leopolda Boreckiego, tych u których kiedyś byłem w Brześciu. Oni się przenieśli do Jarcocina z Drohiczyzna, gdzie mieszkali w czasie wojny. Wujek dzia-

łał w Armii Krajowej i zaraz po wojnie, jak zaczęli akowców zamykać, wujek wziął żonę i córkę i uciekł do Polski zachodniej, do Jarocina. Tam go ktoś ulokował na hasło. W Jarocinie uczył w Liceum im. Tadeusza Kościuszki biologii. Ciocia uczyła w szkole podstawowej nr 1. Oni załatwili mamie pracę i przyjęli nas na swoje mieszkanie. Mama uczyła w roku 1946/47, wtedy byłem jeszcze w Radomiu. Dopiero po ukończeniu klasy czwartej przeniosłem się do Jarocina. Wujek z ciocią, żeby zmylić ślad, wyjechali dalej do Gdańska. Tam wujek znowu uczył w gimnazjum, ciocia uczyła w szkole podstawowej. Nam zostawili całe swoje mieszkanie. W Jarocinie zacząłem chodzić do klasy pierwszej licealnej, humanistycznej. W tym czasie kiedy byłem w Radomiu brata wziął do siebie inny wujek, inny brat mojego ojca, który mieszkał w Kraśniku, w lubelskiem. Brat tam chodził do szkoły podstawowej. W 1947 r. wszyscy spotkaliśmy się w Jarocinie. I tam mieszkaliśmy razem do czasu aż poszedłem na studia do Akademii Medycznej w Poznaniu, na Farmację. Brat później studiował na Politechnice ^{GDAŃSKIEJ} ~~Poznanskiej~~, na Wydziale Budowy Okrętów. Obecnie jesteśmy w Poznaniu, ja na Akademii Medycznej, a brat w HCP, jako specjalista od silników okrętowych wielkiej mocy.

Posiadam następujące dokumenty:

- zaświadczenie repatriacyjne,
- listę Polaków zamieszkałych w sowchozie Szarowka, którą własnoręcznie sporządziłem,
- świadectwo śmierci ojca z NKWD w Szynkursku,
- kartkę i list od ojca z więzienia w Kotłasic, *zobacz*
- parę świadectw szkolnych.

zaświadczenie zostało celowo w posiadaniu J. M. 1946. o zobacz
Kiedy otrzymaliśmy kartkę i list od ojca, ojciec już nie żył, bowiem zmarł 28 lipca 1943 r., a korespondencja ta dotarła do nas dwa, trzy miesiące później, bowiem była adresowana do Uksory,

a myśmy już wtedy w 1943 r. byli w Borku. Listy były wstrząsające, takie jakie mogły przejść przez cenzurę, ale dla nas zrozumiałe dlatego, że ojciec się odwoływał do swego stanu, takiego, jak Tamary ~~W~~iedziemskiej, która w stanie prawie agonalnym została z Leningradu przewieziona do rodziców, u których wtedy mieszkaliśmy. Moja matka ją wtedy uratowała od śmierci przez zaproponowanie odpowiedniej diety, żeby nie umarła z przejedzenia. Była całkowicie wyniszczona. Ojciec się porównywał do takiego stanu. Jako oficjalną przyczynę zgonu ojca, w dokumencie z NKWD podano pelagrę. Wszystkim Polakom zmarłym w więzieniach w Rosji podawano jako przyczynę zgonu, pelagrę. To tak, na tej samej zasadzie, jak Niemcy zmarłym w obozach podawali jako przyczynę - zapalenie płuc. Jeżeli to faktycznie była pelagra, to było to wyniszczenie organizmu w wyniku silnego rozwolnienia, a więc odwodnienia organizmu i śmierci na skutek braku białka, a więc braku mięsa i innego białka zwierzęcego.

Po wojnie próbowałem dojść do odtworzenia losów ojca. Nigdy w życiu nie miałibyśmy świadectwa śmierci ojca, gdyby nie to, że ja w imieniu matki napisałem w roku 1945, z Szarowki, pismo bezpośrednio do Stalina, na adres: Józef Stalin, Moskwa, Kreml. W liście pisałem, że upłynęły już trzy lata od aresztowania męża i oprócz dwóch listów, które posiadam, nie znam jego dalszych losów. Jako jego żona nie znam swego statusu cywilnego, czy ja jestem wdową, czy jestem nadal mężatką. To mi utrudnia życie osobiste. Tak trzeba było napisać, aby było uzasadnienie merytoryczne zwracania się do Stalina. Po pół roku, z Szynkurska, z tego - NKWD które aresztowało ojca na przełomie listopada, grudnia 1942 r. przyszło świadectwo śmierci. Napisali, że Antoni Kucharski, syn Wojciecha zmarł w wieku lat 46, że przyczyną śmierci była pelagra, miejsce śmierci Archangielsk i więcej nic. Ale mamy chociaż

taki dokument, z pieczętą okrągłą NKWD w Szynkursku. To jest jedyny dowód rzeczowy końca mojego ojca.

Jeżeli chodzi o fotografie, to jak bym poszukał w zdjęciach mojej mamy, to prawdopodobnie znalazłbym jej zdjęcie - chyba robione do dowodu osobistego, i moje zdjęcie i jeszcze fotografię pewnej felczer kobiety, zdaję się, że się nazywała Siemłakowa, ze swoimi synkami. Wręczyła nam to zdjęcie na pamiątkę wtedy, kiedy wyjeżdżaliśmy z Borku barkami do Archangielska. Innych zdjęć nie mam. Nikt wtedy nie miał aparatu, ani możliwości zrobienia fotografii.

Moje przeżycia, mój pobyt w Związku Radzieckim, w moim późniejszym życiu miały pewne reperkusje. Mianowicie takie, że ja przez cały czas Polski Ludowej nigdy nie mogłem otwarcie i szczerze powiedzieć, co robiłem w Rosji, w jakim charakterze tam się znajdowałem. Kiedy trzeba było podać swój pobyt zagranicą, to pisałem: pobyt w ZSRR - ewakuacja. No, bo jak mogłem inaczej pisać? Jeżeli mnie pytano, jaka to była ewakuacja, to mówiłem, że przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej oni oczyszczali sobie przedpole i usuwali ludność z tamtych terenów. I to wszystko. Na pytanie, gdzie jest ojciec? - mówiłem: umarł. Kiedy? - w 1943 r. Gdzie umarł? - w Rosji. O tym, że był aresztowany nigdy nie pisałem, nie mogłem. Kiedy w 1989 r. wstępowałem do Związku Sybiraków - wtedy utworzonego - to jeszcze miałem obawy, bo wtedy jeszcze u nas nie było zmiany ustroju, jeszcze działała Służba Bezpieczeństwa i ja pracowałem w Akademii Medycznej. Wszystko to stwarzało olbrzymie zagrożenie. Tym niemniej złożyłem kserokopie tych wszystkich dokumentów, o których panu powiedziałem. Poszedłem na "wabank". Sprawy się potoczyły tak, że ja znalazłem się w Związku Sybiraków, a mama już nie mogła należeć, bo 22 stycznia 1987 r. zmarła. Spoczywa na cmentarzu w Miłostowie. Już wtedy, w 1987 r.

tak został sformułowany napis na nagrobku, że było wszystko jasne. Jest napisane: "Jadwiga Kucharska, wielka matka, nauczycielka, sybiraczka. Na tej samej, z lastrika wykonanej płycie, jest symboliczny grób mego ojca i napis: "Antoni Kucharski 1897 - 1943 leśnik, sybirak, zamęczony więzień".

Przeżycia wojenne na pewno ukształtowały we mnie jakąś osobistą postawę życiową, którą bym sprowadził do krótkiego określenia: minimalizmu materialnego. ⁴ Jeżeli widzę i słyszę, że ludzie dobrze sytuowani, mający ładne mieszkania i komfortowe ~~umebrowanie~~ umeblowanie, posiadający samochody i inne rzeczy, jeżdżący tu i tam po świecie, stale narzekają, że jest źle i niedobrze, to ja tego nie przyjmuję do wiadomości. Dla mnie wszystko co jest ponad chlebem jest już luksusem. I to jest napewno minimalizm materialny. Nie przywiązuję wagi, w tym sensie, że jeśli o cokolwiek zabiegam, to po to, żeby moje dzieci miały jako taki standart życiowy, który by im odsuwał myśl o materialnym niedostatku, nie sprowadzał ich na ziemię. Nie chcę, aby nosiły jakiś garb. ^{psychiczny} O Rosji nie [↑]wiele im mówię, bo oni nawet tego nie bardzo rozumieją. Owszem, oni czytają takie rzeczy, jak "Karta". Mam wszystkie numery, jakie dotąd wyszły, a wydano dotychczas sześć zeszytów. Szkoda, że "Karta" nie wychodzi regularnie, co miesiąc. Zdaję sobie sprawę z tego, że opracowywanie takiego wydawnictwa jest trudną pracą i edytorsko i redakcyjnie. Dzieci widzą u mnie książki Sołżenicyna i Warłama Szalamowa. "Opowiadania kołymskie" mają w lekturach szkolnych. Moje dzieci, ²syn ^{całk}i córka, dostały ode mnie "Opowiadania kołymskie" z dedykacją: "Pamiętajcie co przeszedł wasz dziadek, zanim odszedł z tego świata". Uważam "Opowiadania kołymskie" za cenniejsze niż "Archipelag gułag", a to z tego powodu, że u Sołżenicyna to jest rzeka, a Szalamow w swoich opowiadaniach, które mają postać literacką, oparł się na realiach i jest wstrząsający.

Jeszcze chciałbym dodać do swojej relacji taki mały szczegół. mianowicie, w "Polityce" nr 3 z 18 stycznia 1992 znalazłem artykuł Kazimierza Zybarta pt. "Sumienie", o nadtytule "Archiwum NKWD - dokładność, porządek". Pan Kazimierz Zybert, w sposób niesamowicie cudowny, uzyskał dane o swoim pobycie właśnie w obwodzie archangielskim, zwracając się do jednej z organizacji w Rosji, która zajmuje się wyjaśnianiem tych strasznych spraw, i zaszłości. Z artykułu dowiedziałem się o pani Irynie Dubrownej, która mieszka w Kotłasie, i do niej napisałem list. Ponieważ nie znałem bliższego adresu, moje pismo wysłałem do redakcji "Dwinskâja Prawda". Myśle, że w tej redakcji są jacyś porządni ludzie, i ją odnajdą. Wiem, że p. Zybert też pisał do gazety powiatowej. W Rosji każdy powiat ma swoją gazetę.

Tekst jest rosyjski, napisany na maszynie. Napisałem tak:
"Poznań, Polska, 24 stycznia 1992 r. Przewodnicząca Kotłaskiego Oddziału Towarzystwa SUMIENIE, Irina Andrejewna Dubrowna, Kotłas. Wielce Szanowna Irino Andrejewno. W tygodniku Polityka z 18.1.1992 przeczytałem artykuł napisany przez Kazimierza Zybarta. W tym artykule wiele dobrego zostało napisane o Pani osobiście i o pełnej oddania działalności w "Sumieniu". W związku z tym, ośmielam zwrócić się do Pani z gorącą prośbą, a właściwie z dwoma prośbami.
1. Cała moja rodzina, a mianowicie ojciec Antoni, syn Wojciecha, Kucharski ur. 1897r, matka Jadwiga, córka Antoniego, ur. 1906 r. ja - Sławoj syn Antoniego Kucharski ur. 1929 r. i mój młodszy brat Konrad syn Antoniego Kucharski, ur. 1934 r., w nocy na 10 lutego 1940 r. zostaliśmy aresztowani przez organa NKWD w miejscu naszego zamieszkania, to znaczy w nadleśnictwie Żdzięcioł, powiat Nowogródek, obwód Baranowicze, w zachodniej Białorusi. W charakterze specjalnych przesiedleńców przetransportowani do posesji Uksora, tarniańskiej Rady Wiejskiej, powiatu szynkurskiego, obwo-

du archangielskiego, gdzie przebywaliśmy do 1943 r. włącznie. Następnie w czerwcu 1944 r. przewiezieni zostaliśmy do sowchozu Szarowka, nowopraskiego rejonu, kiro^{wo}gradzkiego obwodu na Ukrainie. Stamtąd, w lutym 1946 r. zwolnieni do Polski, ale jedynie we trójkę, t.zn. matka, brat i ja.

2. W listopadzie/ grudniu mój ojciec został zatrzymany w mieście Szynkursku przez organa miejscowego powiatowego NKWD. Od tego czasu - ponad pół roku - nam nic nie było o nim wiadomo. W lipcu - sierpniu 1943 otrzymaliśmy najpierw kartkę pocztową bez adresu zwrotnego, z pocztowym stemplem Bołtinka, obwodu archangielskiego. - jeżeli prawidłowo odczytaliśmy, ponieważ stempel nie jest zbyt czytelny. Kartkę ojciec napisał 3 lipca 1943 r. Taką datę tam postawił. Potem otrzymaliśmy list z dnia 23 lipca 1943, z pocztowym stemplem Kotłas, obwodu archangielskiego 28 lipca 1943 i adresem nadawcy podanym przez ojca: Kotłas, skrzynka pocztowa 202 D. Z ograniczonych przez wojenną cenzurę słów wynikało, że ojciec jest ciężko chory i potrzebuje lekarstw i jedzenia. Na tym nasze kontakty z ojcem się urwały. W wyniku starań odnośnie odzyskania ojca, włącznie z pismem do I.W.S. Moskwa, Kreml /nie napisałem Józefa Wissarionowicza Stalina, bo mi przez gębę nie przechodzi, a oni i tak wiedzą o kogo chodzi/ doczekaliśmy się w 1945r. odpowiedzi w postaci świadectwa śmierci /kopię załączam/, w którym oprócz daty śmierci podano wiek ojca i przyczynę zgonu. Brak miejsca śmierci i okoliczności./więzienie, obóz itp./ Niczego więcej nie wiemy, niż tam zostało napisane. W związku ze wszystkim, co wyżej podałem zwracam się do Pani z gorącą prośbą ażeby:

1/ otrzymać poświadczanie, że nasza rodzina rzeczywiście przebywała w posiołku Uksora i czas tego pobytu, w jakim charakterze myśmy tam przebywali i co robili. W rzeczywistości dorośli tzn. matka i ojciec byli drwalami w przemyśle leśnym, Ja miałem

11 lat, a brat 6 lat.

2/ otrzymać zaświadczenie odnośnie losów ojca od momentu aresztowania w mieście Szynkursku. Czy go sądzono, jaki był wyrok, z jakiego artykułu? Gdzie go trzymano - więzienie czy obóz? w jakiej miejscowości, lub miejscowościach? Kiedy rzeczywiście umarł, gdzie został pochowany i czy zachowało się miejsce jego pochówku?

Wiem, na ile to jest trudne dla Pani. Trudne są te pytania. Łatwo je stawiać, ale straszliwie trudno odpowiedzieć. Tym niemniej wierzę, że Pani potrafi chociaż na jakiegokolwiek z pytań znaleźć odpowiedź. Będę Pani bardzo wdzięczny, tym bardziej, że upłynęło już ponad 50 lat od początku naszych cierpień. Przytoczony artykuł w "Polityce" czyni nadzieję dla mnie i dla brata. Mama moja już nie żyje. Zmarła w 1987 r. Ojciec był inżynierem leśnikiem, a matka nauczycielką szkoły powszechnej. Być może, dzięki takim wspaniałym ludziom jak Pani i inni członkowie stowarzyszenia "Sumienie" uda się nam uzyskać dowody naszych nieprawdopodobnych cierpień. My nie żyjemy do Rosjan żadnych złych uczuć. Prości, zwykli Rosjanie, poczynając od roku 1917 strasznie cierpieli. Zginęły dziesiątki milionów ludzi. My o tym wiemy i cząstkę tego widzieliśmy. Jak wspaniale, że ci którzy ocaleli w Rosji, nie skazują na zapomnienie niczego co zostało przeżyte przez ich naród i inne narody, w tej liczbie i przez nas Polaków. Ci, którzy ocaleli stworzyli "Sumienie", które to udawadnia swoją działalnością i osiągnięciami, że są różni ludzie w każdym narodzie - kaci i ofiary, szlachetni i podli, dobrzy i zli. Jeszcze raz przepraszam, że przesyłam te prośby, ale chcemy uchronić od zapomnienia, dla przyszłych pokoleń to, cośmy przeżyli. Proszę wybaczyć mój nieprawidłowy język rosyjski, już go nie używam tyle lat, proszę wybaczyć błędy. Dzięki temu, że często czytam rosyjskie

utwory z wielkiej literatury Rosji, języka nie zupełnie zapomnia-
łem. Dzięki temu, że w kierowanej przeze mnie katedrze w Insty-
tucie Akademii Medycznej znajduje się maszyna do pisania mogłem
napisać do Pani tę prośbę i cierpliwie będę oczekiwał odpowiedzi.

Z głębokim szacunkiem Kucharski,
tel.do pracy, tel.do domu
adres w języku polskim

Napisałem. Jak ktoś nic nie robi, to nie dostanie na pewno
żadnej odpowiedzi, a tak mam malutki ośsetek nadziei, że może
dostanę jakąś odpowiedź.

Potrząskam zgodzić się niniejszym
manuskrytem (strony 1-59)
z nagraniem magnetofonowym
mojej wypowiedzi. Zastreżam
sobie, że wszelkie publikowania
w/w fragmentów w dowolnych
mediach masowych (Radio, TV,
prasa) nie może odbywać się
bez mojej zgody.

Murkowski
Poznań, 7.VI.92

Nagrał: Krzysztof Gozdowski
Spisana i opracowana: Danuta Wiścek
knieciń - caermiec 1992 rok.

POLSKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANA
DO SPRAW EWAKUACJI
osób narodowości polskiej i żydowskiej
na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

ZASWIADCZENIE № A3 28891

Obywatelstwo: *niemieckie*

zamieszkały (a) w *Kielce*

obwodzie *Praszkim*

ul. *Praszkowska*

udaje się wraz z członkami swej rodziny

Kucharski Wacław

" *Stowicka*

P. T. R. Oddział w *Kielcach*

na stały pobyt do Polski na podstawie Umowy
Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.

Pracownik Polskiej Delegacji

A. B. Kowalski

miasto *Kielce*

1946 r.

POLSKA

Stowicki Kucharski
figuruje jako Wacław Kucharski
(przechrzcony) - bled przy wyprawie
rodziny, bo spodził data
urodzenia

Harajato P.D. P.U.R. Nr. 381, 382, 383

Oprowadzali świadkami: *Jadwin*
Racław *Siedka* *Rz*

1700 22
ZI. *...*
słownie złotych
tysiącem *...*

ZI. *...*
słownie złotych
tysiącem *...*

...
Punkt Etapowy

...
Punkt Etapowy

RZECZPOSPOLITA
PREZYDIUM RADY MINISTRÓW
PAŃSTWA POLSKIEGO
Oddział w Katowicach
Punkt Etapowy
Wydano *...*
do stacji
P. U. R.
Punkt Etapowy Jarocin
194 r.



Отдел Актов Гражданского Состояния

Управление НКВД
Архангельской области
Шенкурское
Юридическое Бюро ЗАГС

СВИДЕТЕЛЬСТВО

о смерти № 11 (8)

Гр. Русацкий
Антон (фамилия)
Вайтехович (имя и отчество)

умер (ла) 28 / 21 - 1947 г. двадцать
(прописью и цифрами год, число и м-ц)
Восемью часов тридцать девять минут
третьего года

чем в книге записей актов гражданского состояния о смерти за
1945 г. 28 числа сентября м-ца произведена соответ-



ОТН { город Анжеро-Судженск край Анжеро-Судженск
селение Анжеро-Судженск область Анжеро-Судженск
район Шенкурский совет Шенкурский

возраст и причина смерти Честн Пешага
ЗАГС З. Терехова Делопроизводитель